



Cena 60 groszy

WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 30 (82)

Warszawa, Niedziela 26 lipca 1925 r.

Rok II

KUPON

„WIADOMOŚCI
LITERACKICH“

Kogo wybralibyśmy
do Akademii Literatury
Polskiej?

Jacek Malczewski o sobie

Wywiad własny „Wiadomości Literackich“

Stacja kolejowa Gromnik, — a stąd jeszcze dwanaście kilometrów kołmi do Lusławic, gdzie obecnie stale przebywa Jacek Malczewski. Okolica — typowa dla podkarpackich stron zachodniej Ma-

— A co pan myśli o Matejce jako artyście?
— Matejko — to przede wszystkim malarz twarzy i dekoracji. Patrząc na niektóre jego obrazy, ma się wrażenie,

— Wspominał pan przed chwilą Wyspiańskiego...
— Z Wyspiańskim żyliśmy dosyć blisko. Pośrednim impulsem do napisania „Wesela“ dało mi moje „Błędne koło“. Zarzucali mi niektórzy wpływ Wyspiańskiego. Rzecz miała się jednak przeciwnie. Raczej ja na niego oddziaływałem. Wyspiański zresztą sam to uznawał. Zdało się, że nikt nie wie o tem, iż jest w „Weselu“ ustęp mnie poświęcony. Jest to wizja poety, któremu śni się dramat i rycerz w pełnej zbroi — stojący u źródła i patrzący do mętów studni.

„A gdy wody czerpnie ręką,
to mu woda się zabrudni!“
(akt I scena 24).

Wyspiański przysłał mi egzemplarz „Wesela“ z tym ustępem specjalnie zakreślonym.

— A jakie ma pan wspomnienia z okresu „Młodej Polski“?

— Bardzo nieliczne. „Zielonego Balonika“ nie lubiłem, z ludźmi tymi się nie spotykałem, w „Jamie Michałkowej“ nigdy nie byłem.

— Czy pan dużo teraz pracuje?

— Nie mogę, niestety, wiele malować. Od roku już siedzę w Lusławicach, najpierw chorowałem dosyć długo, później bolała mnie ręka. Nie mogę pracować — skarży się ze smutkiem wielki artysta.

Pragnę zmienić temat:

W jaki sposób działalność artystyczna musiała się pan spotkać z jednokrotnie z poparciem rządu i kraju?

— Przeciwnie. Całe poparcie kraju ograniczyło się do zakupu jednego obrazu za 500 reńskich, a i tutaj inicjatywa i znaczna część pieniędzy wyszła ze strony prywatnej.

— Pozwoli pan, że jeszcze raz przejdziemy do doby obecnej. Pragnąłbym bardzo znać zdanie pana o literaturze i malarstwie współczesnym...

— Trudno to określić tak krótko, w jednym zdaniu. Literatura specjalnie się nie interesuje. Z dawniejszych odpowiada mi bardzo Norwid, z młodszych czytuję dość często twórcy „skamandrytów“. Jeśli zaś chodzi o sztukę ogólnie, — mam wrażenie, że żyjemy na schyłku epoki, wydaje mi się, że nasza cywilizacja się kończy. Nasza sztuka obecna ma dlatego dużo cech przejściowości, niestabilności...

— Jeszcze jedno. Jakie jest zdanie pana o młodych?

— Nie czuję się powołany do wydawania sądów. Zostawiam to innym. Nie chcę i nie mam prawa sądzić kolegów. Mogę co najwyżej ocenić techniczną stronę obrazu, powiedzieć, czy to jest dobre rzemiosło, czy złe. Ale jeśli chodzi o założenia? — Naogół zauważyłem, że zbyt silny i dlatego niekorzystny wpływ sztuki francuskiej. Poza tem dzisiejsi artyści są za mało rzemieślnikami: są za inteligentni. A to jest może połączone ze szkoda dla sztuki. Wierzę jednak, że przygotowują oni grunt, mam silną wiarę, że za jakieś dziesięć lat powstanie nowa, pełna sztuka polska. Bo talentów wiele bardzo dużo. Ostatnio zwróciły moją uwagę prace Stryjeńskiej. To wybitnie zdolna artystka! Wogóle zaś co do młodych — niech im pan powie ode mnie, że ich bardzo kocham i że w nich wierzę.

Oto najistotniejsze strzępy tej rozmowy, którą wtedy prowadziliśmy. Po półtoraradnym pobycie w Lusławicach wyjeżdżam, unosząc ze sobą bardzo miłe wspomnienia.

— Niech pan nas jeszcze odwiedzi — serdecznie zaprasza Malczewski.

I znowu półtoragodzinną jazdą kołmi do Gromnika, a potem trzy godziny koleją do Krakowa. W drodze przeżywam jeszcze raz wrażenia i myślę...

Urządzenie obchodów i jubileuszów jest rzeczą bląhą, jeśli zapomina się przytem o rzeczach najistotniejszych. Malczewski utrzymuje się wciąż jeszcze z pracy swych rąk. W Krakowie zajmuje skromne mieszkanie przy ulicy Krupniczej na drugim piętrze, co na człowieka o słabym sercu działa zabójczo. Gorzej — artysta tej miary, były rektor krakowskiej akademii sztuk pięknych, nie ma własnej pracowni. Doprawdy, refleksje niezbyt wesołe!

Czy już nie ma u nas ludzi z inicjatywą? Czy krakowska akademja nie mogłaby się zdobyć na zaofiarowanie u siebie pracowni swemu byłemu rektorowi i największemu współczesnemu malarzowi polskiemu?!

Jan Brzękowski

Książka o wojnie i pokoju

Nowy tom Józefa Wittlina

Niedługo, w nakładzie Zygmunta Pomarańskiego i Spółki, ukaże się książka Józefa Wittlina „Wojna i pokój“. Wyjmujemy z niej jeden z fragmentów.

Dziesięć lat minęło od owego lipcowego dnia, w którym cywilizowane państwa Europy, zapewne po głębszym namyśle, rzekły się rzeczywistych i urojonych błogości stanu, zwanego pokojem, aby z niesłychanym entuzjazmem urodzić światową wojnę. Wszyscy pamiętamy to uczucie ulgi, z jakim owego dnia odetchnęły ludy, a raczej samozwańcze usta ludów, czyli gazety, wydając na czele swych wstępnych artykułów triumfalny okrzyk: Nareszcie!

Przylgnęły wówczas cywilizowane ludy do tych szeroko rozwartych paszcz, zachłystniętych radością wieścią o wojnie, aby zlizywać z nich każde słowo, jak słodką wyrocznię. Jeśli ktoś kiedykolwiek śmiał podawać w wątpliwość istnienie u ludzi wiary i dobrej woli, poniósł chyba wtedy najsromotniejszą klęskę. Miljony ciemnych i oświeconych wierzyły, jak jeden mąż, w nieomylnie objawienia gazety. Zdawało się, że cała ludzkość porwana jest szaleem religijnym i w ekstatycznym upoieniu wita swego, długo oczekiwanego, Mesjasza: w tak bakchiczny podskokach biegła mu na spotkanie, gotowa do wszelkich ofiar. Z dziecinna ufnosć poddały się ludy czarowi ultimatów stawianych nawzajem przez upoważnione do tego osoby. Czytelnikowi ówczesnych gazet wydawało się, że poszczególne państwa są jednym organizmem, mają jedną wolę i jedno serce, i przeto uznał on święte dogmaty, głoszone na powitanie wojny — za swoje własne. Ukłękł przed niemi, nie podejrzewając fałszu.

Od owych upalnych i niepojętych dni, — obok miliardów ludzkich słów i opinii, drukowanych w zapomnianych już gazetach, — dzieli nas dzisiaj piramida niezapomnianych ludzkich czynów, oraz góry kilkudziesięciu milionów trupów, lasy odrąbanych nóg i rąk i morza przelanej krwi.

Jeszcze nas straszą żywe upiory bez oczu, bez nosów, bez uszu, jeszcze kuszący na brukach miast nieszczęśliwi sprzedawcy gazet, jeszcze nie wymarli wszyscy inwalidzi. Świeżo mamy w pamięci ów przerażający pogrzeb we Lwowie, na którym tysiące kalek odprowadzało do grobu swego towarzysza-samobójcę Jana Kosa, co z okrzykiem: „Niech żyje Rzeczpospolita Polska!“ palnął sobie w łeb po skończonej oracji na inwalidzkim wiecu.

Kto z nas, usnąć nie mogąc, — wśród cichej nocy nie słyszy już jęku morderczanych ludzi, temu zapewne świta przed oczami jutrzeńka „protokołu genewskiego“, niby tęcza nad potopem świata rozpęta. Ale są ludzie, którym jeszcze ciągle szumi w uszach wrzawa wszechbraterskiej rzezi, którym co noc śni się jeszcze wojna, i strasznym krzykiem przerażenia budzą śpiące tuż obok żony. Przeto zastygając ciszy nowego pokoju („Pamiętajcie o lotniczej i gazowej obronie Ojczyzny!“) — uparczywie wsłuchują się w echa niedawnej przeszłości. Nie odłożyli jej jeszcze ad acta, ani nie przekazali narodowym muzeom wspomnienia wielkiej wojny, sumienia bowiem swego nie można ustawić w oszklonej gablocie na pokaz kształcącej się młodzieży. Z zaciśniętymi ustami, z gestem władców przywołują ku sobie te zapamiętałe szalki pobojowisk — uciekające w niepamięć widmo wojny, aby mu odważnie zająrzeć w ślepią i opanowawszy przerażenie, wydrzeć mu jego tajemnicę.

Istnieją wśród ludzi pewne skłonności, zmierzające do jak najszerszego rozwiązania gniotącego duszę zagadnienia wojny. Sto usprawiedliwień znajdujemy na zawołanie w chwili, gdy święta inkwizycja sumienia, zwana moralnością, zmusza nas na straszliwych torturach do wyznania winy. Wówczas usiłujemy albo zwalczyć winę na innych, albo wręcz zadąć kłam jej istnieniu. Poprostu stwierdzamy, że to, o co nas oskarżają, wogóle

nie istnieje, i tak długo wijemy się w tej okrucieńskiej katowni, aż uda nam się kota odwrócić ogonem, czyli udowodnić inkwizycji, że zbrodnia nasza jest czynnem moralnym, słusznie uzasadnionym i pięknym. Ledwo nas wypuszczą z dręczycielskich kleszczy inkwizycji, zaledwie zacerpnjemy tchu i wyprostujemy skatowane członki — stajemy się naraz bardzo pewni siebie, a beczelna pycha tak nas ponosi, że zaczynamy głosić uro-



JÓZEF WITTLIN

zjęcie dla „Wiadomości Literackich“
wykonane w zakładzie Karola Pęckperskiego

dę czynów, za które niedawno jeszcze pociągnięto nas do odpowiedzialności.

Biedna inkwizycja, zagłuszona — staje teraz po naszej stronie, jak uboga służebnica, czyści nasze bohaterskie buty, słowem: niemoralność przekształca się w moralność, a niezłomny strażnik prawdy — w herolda kłamstwa.

Ta dziwna, tchórzowska zaiste transfiguracja dokonywana się prawie zawsze w duszach cywilizowanych ludów z chwilą rozpoczęcia wojny i jest najniezawodniejszą właściwością ludzkiego charakteru. Ze zbrodni zabijania rodzi się w okamgnieniu cnota żołnierska. Młodzi i starsi mężczyźni, ojcowie rodzin, poważni rolnicy i spokojne mieszczaństwo, aby zakryć ohydę czekającego ich rzemiosła, przebijają się barwnie, jak dzieci, brzęczą ostrogami i przy dźwięku trąb i bębnow bicia, rytmicznie tupiąc nogami, maskują swoje smutne i zgłota niezabawne przeznaczenie. Ale człowiek bez cnót żyć nie może. To też mężczyźni, zmieniając się w wojsko, nagle odkrywają w sobie mnóstwo wspaniałych możliwości. Ludzie, którzy w monotonnym, stonkunkowo wygodnym życiu pokojowym umarliby, nie dawszy nawet znaku o drzemaniu w nich cierpliwości i siły, — tutaj otrzymują sposobność rozwinięcia i okazania szeregu zalet. Rodzi się w nich cnota męstwa, poświęcenia, wytrzymałości, samozaparcia, posłuszeństwa, milczenia, koleżeńskości, braterskiej miłości, a przede wszystkim umiejętność szanowania przeciwnika. Pokazują wówczas mężczyźni, jak cicho umiemia umierać, jak bez słowa skargi dźwigać potrafią na sobie ciężary, jak cierpliwie zdołają znieść upokorzenia, obelgi kaprałskie, wszy, głód, pragnienie, mroź i upał. Zatarwiali egoiści przemieniają się w miłośników kolegów, lękliwi hipochondrycy w „starych wiarusów“, którym niestraszne żadne niebezpieczeństwo.

Rodzi się z tych cnót ów piękny honor pulku, honor armji. Święci zabójcy, których posiada każdy naród, jak męczennicy chrześcijaństwa, z blaskiem w oczach giną w obronie czcigodnych, hańbowanych szmat, zwanych sztandarami. W ten sposób żołnierze sami sobie stwarzają kompensatę za zbrodnie mordu, sami z siebie rodzą nową moralność, żołnierską, aż w trudzie wojennym, w mozołach krwawych i głodnych dni ślego posłuchu uda im się zagłuszyć w so-

bie resztki głosu sumienia, i zapomnieć, zapomnieć o wszystkim. Tchórzostwo żołnierza nigdy nie może usprawiedliwiać się — jego pokojową moralnością, zabraniającą mordować. Przeważnie bowiem chodzi tchórzom nie tyle o nie-mordowanie bliźnich, ile o ocalenie siebie. Coprawda: tchórzostwo i w tym wypadku nie powinno być poczytywane za zbrodnie, skoro natura ludzka, mimo sumienne kształcenie jej w odwrotnym kierunku, — zawsze jeszcze wzdyga się przed aktywnym i pasywnym morderstwem. Nie jest jednak tchórzem, kto ucieka z okopów, gdzie walczył wbrew swoim przekonaniom i woli. Tchórzem jest raczej ten, kto ucieka przed konsekwencjami swych wojowniczych zapaleń.

Religje panujące w krajach cywilizowanych, które czasu pokoju mają odwieczny przywilej dzierżawy moralności ludzkiej i obowiązek czuwania nad czystością dusz, z wybuchem wojny rzadko protestują przeciw tym frymarkom sumienia, a widząc swoją bezsilność, spokojnie patrzą na zawieranie paktu z szatanem i w obawie zupełnej izolacji truchciek biegną na stronę większości, sprawującej władzę. To też we wszystkich krajach wojujących wojna europejska rozpoczęła się od uroczystego nabożeństwa za pomyślność operacji strategicznych i za wieczny spokój ludzkiego sumienia. Religja jest jednak uparta. I tak, przedko i bez okupu nie opuści swojej placówki. Stawia veto wszystkim niemoralnym poczynaniom człowieka. W podobnych więc razach postępuje się z nią tak jak z każdym niewygodnym przeciwnikiem, który posiada wpływ i mógłby stać się groźny. Wyrażając się mniej delikatnie: zatyka się religiję gębą, przez zaproszenie jej do zarządu wojny.

W wojnie światowej kapelanowie wszystkich armij i wyznań — księża, pastory, popi, rabini, mułhowie — z miejsc otrzymani rangę conajmniej kapitanów, za co kazano im nauczać, że cel, w którego imię strzela dana armja, jest święty, że Bóg jest wyłącznie po jej stronie i popiera rodzimą strategię. Już w czasach starożytnych Izrael miał swego Pana Zastępów, który wyłącznie nim się opiekował. W wojnie europejskiej mieliśmy Bogów: Niemiec, Austrii, Turcji, Bułgarii z jednej strony, oraz Bogów: Anglii, Francji, Rosji, Włoch, Belgii, Serbii, Czarnogóry, Rumunii, Portugalii, Japonii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej... i t. d. Za swój protektorat otrzymywał Bóg, w razie zwycięstwa, order: „Pour le Mérite“, „Signum Laudis, Karltruppenkreuz, krzyż świętego Jerzego, Legion d'Honneur, order „Wschodzącego Słońca“, order „Wstęgi Podwiazkowej“ i różne inne mentale. Zostawał najwyższym komandorem tych orderów, na szarbie niebieskiej, z autentycznymi gwiazdami nieba. „Honny soit qui mal y pense“...

Największe to bluźnierstwo, na jakie ludzkość się zdobyła, spotkało się z surowym potępieniem światobliwego papieża Benedykta XV, który wydał do „ludów walczących gorące orędzie z prośbą o zaprzestanie przelewu krwi.

Zapłakać musiał wówczas krwawymi łzami Pan nasz Jezus Chrystus, rozpaczy na wszystkich tych krzyżach zasługi, zdobywcy piersi walecznych wojowników Europy... Ale lzy Jego przenajświętsze spłynęły nadaremno ku ziemi, przysięgniętej krwią bratobójczą.

Nie oddano Bogu, co boskie, przy oddawaniu cesarzom tego, co cesarskie. Skoro więc wszystkie religie poddały się interesom ludzkim, jest chlubą garstki poetów, rozproszonych po całym świecie, iż nieświadomie zdołali ocalić ziarno wiary Chrystusowej, wbrew wszystkim interesom człowieczeństwa, którego przecie są częścią.

Z tej przyczyny mówić się winno przede wszystkim o tych poetach wojny, co przedarli się przez gąszcz tysiącznych siideł i samotrzasków, czchających na nich wśród dżungli powikłanej ludzkiej natury, — wysoko unosząc w swych rękach zalekniome serce człowieka.

łopolski. Po półtoragodzinniej jeździe widać na prawo od szosy dużą elipsoidalną kępę drzew: Lusławice. W dali, z drugiej strony, pasma wzgórz udekorowane szeroką basztą ruin Melsztyna — bliżej zbiorowisko dachów z białymi płamami kościoła: Zakliczyn. Skracamy i po kilku minutach zajeżdżamy przed dwór. Ganek z czterema białymi filarami i długa płaskość parterowego domu. Dawny pałac Lanckorońskich, jak się później dowiedziałem. Obok — lamus, ongiś zbiór socynjańskich.

Serdecznie i gościnnie podejmuje mnie pani Karczewska, siostra artysty, długie godziny spędzam na rozmowach z Malczewskim. Chodzimy po ogrodzie, albo siedzimy na werandzie i gawędzimy. Mistrz Jacek wspomina dawne czasy, wypowiada sądy o współczesnych, rzuca uwagi o sztuce. Tak narasta materiał interview.

— Jubileusz... mówi artysta... nie lubię jubileuszów i uroczystości. Są to rzeczy mało istotne. O wiele więcej mnie cieszy, jeśli ktoś się wyraża o mnie, że ten Malczewski — to porządny człowiek, niż gdyby mnie wychwalał, że jestem znakomitym artystą. Nie lubię wogóle mówić o sobie, przemawiać „ex cathedra“, wstręt budzi we mnie robienie z siebie autorytetu. Nie czynilem tego nawet wtedy, gdy byłem profesorem akademii. Wolę być autorytetem po śmierci.

Patrzę na piękną głowę o ostrych nieco rysach i na wyraziste, mgłą smutku przysłonięte oczy, wreszcie przerywam zapytaniem o lata młodości i walki, o początki twórczości artystycznej?

Malczewski zastanawia się przez chwilę, zbierając myśli. Potem mówi:

— Ruch artystyczny Krakowa przedstawiał wtedy ciekawy obraz. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła po moim powrocie z Monachium, była supremacja Matejki, który, popierany przez wszechwładny w owym czasie „stan-czyków“, wywierał olbrzymi wpływ na młodych artystów. Pragnął on popchnąć wszystkich w kierunku malarstwa historycznego. Mnie namawiał również bardzo usilnie. Raz nawet ustąpiłem i namalowałem obraz p. t. „Śmierć Ludgardy“. Treść malowidła nie spodobała się Matejce tak dalece, że się na mnie obraził, określając to jako kpiny. Odtąd nie namawiał mnie już na malarstwo historyczne.

JACEK MALCZEWSKI

Z przeobrażeń religijnych we współczesnej literaturze francuskiej Chrześcijaństwo, katolicyzm, narcyzm

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich”

Paryż, w czerwcu 1925.

Niedawno w wywiadzie z młodzień-
kim pisarzem amerykańskim („Wiadomo-
ści Literackie”, nr. 69) poruszyłem kwe-
stję etyki w życiu pisarza. Nie jest to
kwestia specjalnie amerykańska. Ścisłe
z nią związany jest spór, być może je-
den z najbardziej zasadniczych sporów,
jakie w ostatnich czasach poruszyły
rzeczpospolitą literacką. Jest to słynna
dysputa pomiędzy Jackiem Rivièreem
z jednej strony a szeregiem pisarzy, jak
Marceli Arland, Henryk Béraud, Henryk
Massis, z drugiej. Rivière występował
tutaj jako szermierz Andreja Gide'a
i całej „Nouvelle Revue Française”.

Przed kilkoma miesiącami spórwi te-
mu, niewyczerpanemu ostatecznie, po-
łożyła kres śmierć Rivière'a. Poświęcony
mu majowy zeszyt „Nouvelle Revue
Française” odkrywa do głębi ową tra-
giczną i plomienią duszę; pełna cha-
rakteru umysłowość — pojęta raczej ja-
ko zbiór uczuć — wyrusza z arty-
kułów przyjaciół i wrogów, a zwłaszcza
z opublikowanej po raz pierwszy kores-
pondencji z Alain-Fournierem i Andre-
jem Gide.

Jeden z listów do Gide'a (datowany
z Bordeaux dn. 4 stycznia 1913 r.) —
to najgłębszy obraz duszy ludzkiej, peł-
nej niepokojów, wahających się tragicznie
pomiędzy słodyczą i — jak Rivière to
nazywa — „latwością” katolicyzmu —
a żądzą pisarską wchłaniania w siebie
życia całkowitego, bez reszty, bez rozróż-
niania „złych i dobrych uczuć”. Już
w swoim szkicu „O wierze” (1912) woli
Rivière: „To, co mi nie pozwala całko-
wicie przyłączyć się do katolicyzmu, to
to, że nie mogę chcieć rozdzielenia. Ka-
toolicyzm żąda, abyśmy oddawali pierw-
zeństwo naszym dobrym czynom, potę-
pił zło. A jednak skoro jakieśkolwiek
uczucie powstanie w mej duszy, zbyt
wiele zdumienia, zbyt wiele uwagi, zbyt
wiele łubowania się ogarnia mnie. Nie
mógłbym o jego wartości, o jego cenie. Nie
możę mi w niczem przeszkadzać. Oto
jest: wchodzi we mnie, to wystarcza.
Namiętność poznawania ożywia mnie,
jedyną namiętnością naprawdę godną po-
tępienia. Dowiedź się o sobie wszystki-
go, co możesz. Namiętnością moja jest
nie w sobie nie zmieniać”.

A we wspomnianym liście do Gide'a:
„Nie być chrześcijaninem — to znaczy
znaleźć w tem życiu sens wystarczający.
Tym sensem jest dla mnie poznanie sa-
mego siebie. Czasami poczynam wyja-
śniać mojej żonie moje uczucia, moje ten-
dencje, przyzwyczajenia mego serca, to
żem jestem. I znowa coś w rodzaju
świątliwości i uniesienia ogarnia mnie,
i w miarę jak coraz wyraźniej widzę,
wchodzę w coraz drobniejsze szczegóły,
moje szczęście zmienia się w egzaltację.
Podnosi mnie to i zachwyca. „Widzieć
coraz jaśniej” — nie znam nic bardziej
wzruszającego, ani straszliwszego. Jakże
jestem daleko od Boga w tym momencie.
Czuje się zupełnie opuszczony przez nie-
go i mogę zupełnie obcy być
bez Boga. Na tem polega moja bez-
bożność, w tym punkcie tylko nie ule-
głem”.

Być może, że słowa tego listu dlatego
są dla mnie takie bolesne i wzruszające,
że zbiegają się prawie z zakończeniem
mojej ostatniej powieści, chwilami nawet
dosłownie — stan ten psychiczny jest
mi może bardziej znajomy, niż jakiemu-
kolwiek innemu pisarzowi w Polsce, od-
czuwam więc bardziej jego beznadziej-
ność i złożoność.

Walka z Bogiem i o Boga w duszy
Rivière'a dziwnie się komplikowała dzie-
ki temperamentowi, który całkowicie
odwracał jego apetyty ku wglębianiu się
w życie tak jak to pojmował Proust,
ukochany Rivière'a i całej szkoły jego
pisarz. „Pod wpływem Comte'a i Mar-
celego Prousta — powiada Marceli Ar-
land — Rivière szedł prosto w stronę
pozytywizmu i twierdził, że pisarz nie
może być niczym innym jak prostopo-
stym odbiorcą.” W słynnym li-
ście otwartym do Henryka Massisa „O
złych i dobrych uczuciach” powiada zno-
wu Rivière w dwadzieścia lat po szkicu
„O wierze”: „Twierdząc, że jest rzeczą
niemożliwą dla powieściopisarza, który
doszedł do krańca swojego rozwoju, dla
pisarza skończonego, odczuwam za-
sadniczą różnicę pomiędzy dobrem
a złem”.

Oczywiście przy takich dyspozycjach
„trudności wiary” piętrzyły się na pozór
nie do przewidzenia; droga, którą
przebył w rozwoju swej myśli religijnej
Rivière, pozostała jeszcze dość ukryta
w cieniu. Stopniowo powracanie na łono
katolicyzmu, a potem dopiero przejęcie
się ideami chrześcijańskimi, stało się
faktem dokonanym. Zdaje się, że nie
będzie błędem, jeśli wyrażę przypuszcze-
nie, iż katolicyzm Rivière'a nie opierał
się na stosunku bezpośrednim do Boga.
Sam o tem mówi w owym tak pełnym
znaczenia liście do Gide'a: „Jest rzeczą
oczywistą, iż nie mam poczucia Chry-
stusa, zrozumienia jego słów, ani — trze-
ba to powiedzieć — prawdziwej miłości
do niego”. Podstawą chrześcijaństwa Ri-
vière'a jest raczej miłość bliźniego: „Do-

szedłem do dna poczucia przyjaźni wzglę-
dem ludzi, gdzie jest już tylko wyrze-
czenie się siebie i żarliwe zajęcie się
bliźnim”. W tem żarliwym zajęciu się
bliźnim łatwo zobaczyć to samo uczucie
ciekawości świata i ciekawości ujrzenia
siebie w innych, które go rozparło od
młodości. Chrześcijaństwo Rivière'a da
się wobec tego zredukować do pierwot-
nego uczucia wchłaniania życia bez
reszty.

Takie właśnie pojmowanie zadań pisa-
rza i taki stosunek do życia religijnego roz-
budził szerokie protesty. Henryk Massis,
znany tomista, przyczynił się sam za-
pewne do utworzenia tej grupy katolickich
ale niechrześcijańskich pisarzy, którzy,
jak powiada o sobie Rivière, zaczęli nie
od Chrystusa, lecz raczej od świętego
Tomasza, a których wybitnym przedsta-
wicielem stał się teraz Henryk de Mont-
herlant. A jednak właśnie Massis ugo-
dził w bolesne miejsce „Nouvelle Revue
Française”, w Gide'a, w Rivière'a, w
Prousta, w Valéry'ego. Nazywa się krótko
stan ich duchowy narcyzmem. Je-
żeli niesprawiedliwa nazwa ta jest w sto-
sunku do Prousta, który, wchłaniając
w siebie życie i mówiąc bez przerwy
o sobie, stworzył galerię tak żywych
i odrębnych postaci, jakich od czasów
Balzaka literatura francuska nie знаła,
— to jednak w stosunku do Rivière'a godzi
oczywiście w ową słabą stronę nadmier-
nego „poznawania siebie”, które zwię-
żać kościółowi katolickiemu wydaje się
podejrzane.

W ostatnim swoim wywiadzie z nie-
strudżonym Fryderykiem Lefèvre, wy-
wiadzie dla twórczości Claudela i umy-
słowości powojennej Francji niezmiernie
ważnym, autor „Zwastowania” określa
narcyzm w sposób dosadny i prze-
konujący.

„Analizy Prousta — powiada — są
ciekawe. Ale to są analizy rozkładu.
A potem są w życiu inne sprawy, niż
te ludzkie nierobów i keniuchów.”

Co zaś przedwzrostkiem mam za zle
Proustowi, to ową stałą praktykę intro-
spekcji. Jest to maniera godna pożało-
wania. Falszuje się samego siebie pa-
trząc wciąż na siebie; fabrykuje się coś
w rodzaju sztucznej indywidualności
i stawia się je w miejsce naiwnej i czyn-
nej osobowości. Prawdziwe ja odkrywa
się dopiero pośród okoliczności, i dla-
tego to dramat posiada wyższą prawdę
aniżeli powieść, gdyż stawia na pierw-
szym planie działanie, a osoby są tylko
funkcjami owego pobudzającego dzia-
łania.

Małżeństwo Rivière'a, że się nie
zajmuje ani tem, czem człowiek jest, ani
tem, czem może być, ale tem, czem
p owinien być; nie tym całokształ-
tem manji i przyzwyczajeni które się
nazywa osobowością, ale sposobem, w ja-
ki mamy odpowiedzieć na zew powszechny,
skierowany do wszystkich dzieci
Boga...

„Są w nas możliwości nieskończone;
nikt nie zna siebie, nikt nie wie, jakby
odpowiedział na takie a takie pytanie,
specjalnie dla niego skomponowane. Naj-
delikatniejsze analizy znawców duszy
dają rezultaty smutne, dziwaczne i fa-
lszywe...”

Polemika o wartość introspekcji i po-
znawania siebie w rzemiośle pisarskim
narazie jest zawieszona. Przeszło osiem-
set stron zawierający zeszyt „Nouvelle
Revue Française”, poświęcony Ri-
vière'owi, jest jakby grobowym jej ka-
mieniem. Rivière i Proust już są po tam-
tej stronie analizy psychologicznej, Gide
na rok cały usuwa się z Paryża. Pole
jakoby zostało się przy katolikach i wiel-
bicielach czynu. Czy na długo — przy-
szłość pokaże.

Jeżeli chciałem temi paroma cytata-
mi zwrócić uwagę czytelnika (raczej mo-
że literata) polskiego na zagadnienie,
nurtujące umysłowość pisarza francuskie-
go, — to oczywiście nie ze względów,
aby te sprawy były u nas aktualne.

Chciałbym jednak przedwzrostkiem,
aby młodzież nasza, przygotowująca się
do pracy piórem, zechciała zauważyć ów
problem, który dla pisarza fachowego
nie może być obojętny. Nasza proza
współczesna stanowi, niestety, jedną
tylko szkołę. Wszyscy jesteśmy, nie wy-
łączając nikt podpisany, powiadamy
prostu za Irzykowskim — że szkoły
Zeromskiego. Nie mamy innej szkoły, nie
ujadamy się o jakikolwiek program, po-
 prostu — jak to się mówi — „wjadamy
się w życie”; czynimy to jednak dość
po szlachetku i na Improvizowane, co
nie doprowadza ani do prawdziwego psy-
chologizmu, ani do jakiegokolwiek po-
wziętego a priori etycznego stanowiska
wobec zagadnień tego życia. Notujemy.
Stąd może być płynne nasza dekompo-
zycyjność w powieści, której musimy
przeciwstawić tak wybitnie etyczne i na-
przeciwny biegunie narcyzmowi stojące
dzieła, jak powieści Prusa i Orzeszkowej.
Są to wzory — godne, aby na nie no-
wemi popatrzyć oczami.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Niemiała przygoda „Kochanków” Dwa wrażenia z teatrów berlińskich Korespondencja własna „Wiadomości Literackich”

Berlin, w lipcu 1925.

Berlin nie jest miastem odpowiednim
dla kochanków. Dla kochanków żadnych
i pod żadnym względem. Rendez-vous
kochanków zwykłych odbywają się tu
w ogrodzie zoologicznym, w pobliżu nie-
moralnych małp, strusiów i bocianów,
lub też w „Tiergartenie”, a „Kochanków”
innych kładą na tortury w teatrze. To
przynajmniej, co uczynił teatr „Tribune”
z „Kochankami” Wacława Grubińskiego,
było naprawdę torturą i nieumyślną co-
prawda, ale tem dokładniejszą, złośliwo-
ścią i wyszydzeniem.

Nie byłem nigdy zbyt wielkim wiel-
bicielem i przyjacielem tych „Kochan-
ków”. Zastrzegam się co do tego wy-
rażnie, pomimo całego podziwu i uzna-
nia, jakie mam dla talentu p. Grubiń-
skiego, Raziło mnie zawsze w tej sztuce
intelektualistycznej, wyrozumowane, mó-
gowe postawienie zagadnienia. Nie mo-
głem się oprzeć przekonaniu, że teza
koncowa postawiona była w pewnej mie-
rze „pour épater les bourgeois”. Ale
pamiętam jeszcze wrażenie z warszaw-
skiej premiery w Teatrze Małym, wra-
żenie wyrażenia i subtelności, z ja-
ką wiązał się w tych „Kochankach” in-
tektualizm założenia z subtelnym, czystym
liryzmem wykonania. Wykonania
dramatu i przez autora i przez kapitałną
parę pp. Przybyłko-Potockiej i Osterwy.

To pamiętam — i dlatego tem bardziej
żałuję, że omglad „Kochanków” w „Tri-
bune”. A raczej nie! Nie żałuję! To trze-
ba było widzieć, aby można było uwie-
rzyć, że w jednym z najkulturalniejszych
podobno teatrów czteromilionowej eu-
ropejskiej stolicy tak skandalicznie może
być zagrana sztuka — sztuka istotnie
niełatwa i stawiająca niemałe wymaga-
nia artystom, ale przecież nie tak bez-
sensowna, jak ją zagrano. Horrendum!
Wyobrażam sobie, co sobie myśli p. Gru-
biński o publiczności berlińskiej i kry-
tykach, którzy pisząc z przekasem o
„niepotrzebnie wystawionej komedii”,
podkreślają, że część publiczności śmie-
chem ją przyjmowała. Ale niech się nie
dziwi. Przynam mu się, że i ja na przed-
stawieniu nie mogłem wstrzymać się od
śmiechu, a i on sam, gdyby tu był na
swej premierze, śmiałby się gniewnie
i wruszał ramionami z irytacją. Nape-
wno. Przecież sobie tylko owe kry-
tyki berlińskie, z których się dowiedzie,
że odwołca roli Wiktora, p. Wit Har-
lau, zdolny zresztą młody artysta, ma
wszelkie dane na doskonałego aktora...
Charakterystycznego, a zrozumiecie choć
część całego bezsensu, jaki wyraża się
w ujęciu, wyreżyserowaniu i wycienio-
waniu sztuki.

Alto nie wszystko: wyobraźcie so-
bie Grubińskiego, zagrane go w stylu
Przybyłkowskiego lub Hasenclevera, wy-
obraźcie sobie młodego aktora, o nie-
przewidywalnym tonem. Ale potem ten
odwołca stała bezwzględnie wyżej od
warszawskiej. Odwołca pierwsza, na zam-
ku, imci kasztelana de Baudricourt. Ta
właściwie jedna odłona, która w War-
szawie grała na tle całosci tchnie pro-
wincjonalnym tonem. Ale potem ten
wiecej. Nawet Joanna Reinhardtowa,
bezwzględnie bardzo oryginalna i ciek-
awa, nie jest taka, aby p. Malickiej
nie można było przy niej postawić. Bo
p. Bergner grała kapitalnie, ale Joanna

przewycięzonych jeszcze manjerach
szkoły dramatycznej, grającego do po-
łowy pierwszego aktu uczniaka z „Mo-
drego lasu” J. A. Hertza i „Szkoły” Ka-
weckiego, a w drugiej połowie „Przebu-
dzenie się wiosny”, wyobraźcie sobie
całe ostatnie dwadzieścia minut pierw-
szego aktu wypielnione przez zdawio-
ny i nierozumiały, ledwo dosłyszalny
szepit i przez doskonale zato słyszalne,
namietne, przyspieszone oddychanie,
wyobraźcie sobie te środki zastosowane
w celu wydobycia „erotycznego nastro-
ju” sztuki, a będziecie mieli berlińską
parafrazę „Kochanków”.

Z niepokojem rozglądałem się po sali,
gdy po raz pierwszy zapadła kurtyna,
czyżniema czasem na niej p. Grubińskie-
go, czy nie przejechał czasem na swą
premierę. Nie było go. Dzięki Bogu.
Trzeba bowiem chyba wywać doraź-
nej pomocy lekarskiej. Zemdlały, gdyby
urzął swych „Kochanków” w tej postaci.
Wszystkie włosy stanęłyby mu na
głowie. Miał szczęście, że nie przejechał.
Ja wytrzymałem do końca. Uprzejma
i miła tłumaczka, p. Nossigowa, która
bardzo kulturalnie przełożyła „Kochan-
ków” na niemiecki, nadesłała mi zapro-
szenie na premierę — trzeba było wy-
trwać do końca. Nie mam do niej żalu,
że dzięki niej obejrzałem berlińską kon-
cepcję sceniczną „Kochanków”. „Takie
coś” trzeba zobaczyć — jak mówią Po-
lacy berlińscy. To było pouczające. Zo-
baczyłem istotnie coś, czego nie widzia-
łem dotychczas. I po raz drugi rozczaro-
wałem się co do współczesnej sceny nie-
mieckiej.

Po raz pierwszy zdarzyło mi się to
na „Świętej Joannie”. Może dlatego, że
zbyt wiele się spodziewałem. Trzykrotnie
widziałem ją w Warszawie. Chciałem
więc ją specjalnie zobaczyć w Berlinie:
Max Reinhardt ją wystawił, on sam ją
reżyserował i inscenizował. Najlepsi je-
go aktorzy brali udział — krytyka chwa-
liła, wyrażała uznanie i podziw.

Chciałem więc sobie specjalnie po-
równać grę i reżyserję, szczególnie je-
koncept inscenizacyjnej. Wszak Reinhardt
w tej dziedzinie ma niebyłą kartę
w dziejach teatru.

Wyszędem po przedstawieniu pełen
podziwu dla... Zelwerowicza i Teatru
Polskiego. Prostu nie było czego po-
równywać z Warszawą.

Przepraszam: jedno było lepsze, jedna
odłona stała bezwzględnie wyżej od
warszawskiej. Odwołca pierwsza, na zam-
ku, imci kasztelana de Baudricourt. Ta
właściwie jedna odłona, która w War-
szawie grała na tle całosci tchnie pro-
wincjonalnym tonem. Ale potem ten
wiecej. Nawet Joanna Reinhardtowa,
bezwzględnie bardzo oryginalna i ciek-
awa, nie jest taka, aby p. Malickiej
nie można było przy niej postawić. Bo
p. Bergner grała kapitalnie, ale Joanna

w jej ujęciu nie była Joanna Shawowska.
Było w niej wszystko: niesamowitość,
opętanie istotne przez duchy, urok czar-
noksięski i dużo, dużo nie tyle historycz-
nych, ile historycznych rysów, — ale
brakło w niej tego, co było największą
siłą i bronią p. Malickiej, a co jest naj-
ważniejszą rzeczą w kreowaniu bohate-
rów Shaw — prostota, to niespodzianie
proste wypowiedzianie swych słów, jakie
nawspaniałe umiał oddać nieodżałowa-
ny Bończa, artysta, który najlepiej w Po-
lsce rozumiał i grał Shawa.

A inne postacie? — Rzetelność ka-
że przyznać wszelką sprawiedliwość ar-
tystom, którzy odtwarzali arcybiskupa i hr.
Warwick. Ci jedni dorównywali, ale ty-
ko dorównywali pp. Kosłowskiemu i Ju-
stjanowi. Poza tem wszyscy, wszyscy — od
delfina do kata — stali o całą klasę
niżej od warszawskiego zespołu. Berliń-
ski biskup Cauchon przemawiał gwałtownie
i z impetem, brał niemal ton p. Sam-
borskiego — Stogumera i z korzyscia
dla siebie mógłby wziąć kilka lekcji od
p. Stanisławskiego. Stogumer Rein-
hardtowski był młodym krykiem, ce-
dzącym słowa swego oburzenia zimno,
jakby starał się dostosować do obyczaj-
ów arystokratycznych hr. Warwicka.
Inkwizytor — był nieco fałszywym, pół-
dobrodusznym, półfiluternym, okrągłym
klek w stylu kwastarza. A delfin, głów-
ny niemal partner Joanny, ujęty przez
Shaw w jego specyficzny, ulubiony spo-
sób i tak kapitalnie, z takim zrozumie-
niem postawiony w Warszawie przez
p. Fritschego, — tu, u Reinhardta, był
długim, dryblasowatym, naprawdę mało
inteligentnym i pozbawionym wszelkiego
wyrazu miokosem.

To są tylko przykłady, przykłady ani
na jotę nie przesadzone, a stwierdzające
albo fatalną niedbalostkę reżyserką,
albo — zupełnie niezrozumienie sztuki.

To też dziś — gdy przypominam so-
bie z „Joanny” kilkupiętrową, a pozba-
wioną głębszej konstrukcji, scenę sądu,
albo też w epilogu: — usadzenie wszyst-
kich postaci po różnych kątach, kota-
rach łóżka, zapadnię, nawet nad ko-
minkiem i oknami, jakby w ten ordynarny
sposób miał być oddany, nierealny, zja-
wiskowy, senny charakter tej sceny —
gdy przypominam sobie te „Świętą Jo-
annę”, — rozumiem, dlaczego to „Kochan-
ków” tak przykra przygoda spotkała
w Berlinie. Dziś te sceny dramatyczne
berlińskie nie stoją na zbyt wysoko.
Ani reżyserowie, ani artyści nie zada-
ją sobie zbyt wiele trudu, aby zrozumieć
aktora, lub nie mają prostopo temu
zdolności.

W dzisiejszych ciężkich finansowo dla
teatrów czasach sterują pod znakiem:
„fortwursteln”.

Tadeusz Świąciecki.

Potężne dzieło Hamsuna „Ostatni rozdział” Powieść o śmierci i obłudzie

Już się zarysowuje wyraźnie oblicze
powieści współczesnej. Trudno jeszcze
znaleźć dla niej ściśle i wyczerpujące o-
kreślenia, ale może nie będzie błędem,
jeżeli położymy w jej podstaw kierunek,
który możemy nazwać realizmem psycho-
logicznym, — w odróżnieniu od rea-
lizmu anegdotycznego, na którym oparta
była przeważnie powieść zeszłego stule-
cia.

I może wielkie rozmiary powieści
współczesnej wynikają właśnie z tego jej
charakteru. Bo w świecie zewnętrznym
nie wszystko, co się staje, jest jednako-
wo ważne: są rzeczy o wielkim znacze-
niu i rzeczy błahe; ale w duszy człowieka
wszystko jest ważne jednakowo —
tam wszystkie zjawiska mogą być trak-
towane zupełnie równorzędnie. A ile
stosnie trzeba by napisać, żeby wiernie
odtworzyć chociażby jeden dzień praw-
dziwych przeżyć wewnętrznych.

Do kategorii w ten sposób zgruba
„poetyckich powieści rozpoczętego w. XX
należy książka Knuta Hamsuna p. t. „O-
statni rozdział”.

Kto w czytaniu powieści szuka jesz-
cze rozrywkę i wycieńnienia po pracy,
niech jej lepiej nie bierze do ręki. Nie
jest ona zbyt wielką dla tych, którzy
czytali Prousta albo Manna, napewno
nie, a jednak przebrnąć przez nią od
początku do końca jest niezmiernie tru-
dno, jak trudno jest patrzeć zbyt długo
na smutny, szary krajobraz, albo słuchać
wciąż tego samego rozdzierającego mo-
tywu. Albo może — jak trudno jest dłu-
go słuchać jednego ciępiącego człowieka.
To jest kwestia nerwów, a mocne trze-
ba mieć nerwy, żeby przeczytać ten „O-
statni rozdział”. Można by tę książkę na-
zwać książką o śmierci — byłoby to,
zdaje się, zgodne z intencją jej autora,
ale można ją również nazwać książką o
obłudzie, bo kłamstwo i fałsz są jej tre-
ścią prawdziwą; a prztem nie to wielkie
kłamstwo, które może być bohaterstwem,
tylko to drobne, najbardziej, nikomu
nie potrzebne, a nieodłączne od duszy
ludzkiej kłamstwo dnia powszedniego.

Akcja przegrywa się w nowowubudo-
wanym sanatorium Torahus, dokąd zje-
żdżają się ludzie chorzy i lękający wypo-
czynku. Są to przeważnie ludzie mali,
pupcy, dyrektor szkoły powszechnej,
drobni rentjerzy, panny piszące na ma-
szynie, kilka starych nudziarek. Obuda

leży u samej podstawy. Sanatorium pro-
wadzone jest źle i niedbale, ale dyrekcja
nadaje mu wielkie znaczenie lecznicze.
Chorzy karmieni są wyłącznie konserwa-
mi, więc nie dziwnego, że szybko tracą
na wadze; dyrekcja przypisuje ten przy-
padkowy skutek kuracji własnościom wo-
dy miejscowej, niczem nie różniące się
od każdej innej wody, i umieszcza w pi-
smach sążniste reklamy, czem zyskuje
podwójnie: zdobywa tłum gości ciępiących
na otłusłość i robi oszczędności na
ich karmieniu.

Każdy prawie z przybyłymi kuracju-
szów stara się wydać czemś innym, niż
jest w rzeczywistości. A więc dyrektor
szkoły powszechnej udaje wielkiego uc-
zonego, defraudanta, który za pieniądze,
ukradzione z banku, chce leczyć suchoty,
udaje hrabięgo, panna d'Espard, fran-
cyjka, udaje z powodzeniem dakt-
rulkę, a z mniejszym piękną i subtelną
kobietę. Tylu jest różnych kłamców, ilu
ludzi przewija się przez Torahus, a tyle
kłamstw, ile ich zdań i gestów. Każdy
człowiek został przez Hamsuna zupełnie
przenicowany, i wydaje się, że widzimy
tylko wewnętrzną powierzchnię jego skó-
ry. Nie jest ważne to, co mówi i czyni,
ale to, co sobie prztem myśli, a myśli
napewno coś zupełnie innego.

Dziwna, ale mistrzowska technika po-
siadał Hamsun w tej dziwnej powieści.
Każde słowo ma znaczenie podwójne:
to, jakim chce się wydawać, i to, ja-
kiem jest rzeczywistość od strony zewne-
trnej z punktu widzenia pobudek, które
je wydały. I te dwie strony słów, wy-
głaszanych poglądów i dokonywanych u-
czynków podaje nam autor jednocześnie,
skąd wynika, że od samego początku
książki nie wierzymy w nic i w nikogo,
i mamy przynębiające wrażenie, że zo-
stałmy wciągnięci w jakieś grzaskie ba-
gno, z którego nie wydostaniemy się ni-
gdy. Akcji w „Ostatnim rozdziale” nie-
ma prawie wcale. Na tle niesłychanie
monotonnej, malej obłudy życia w sa-
natorium rozgrywa się, a właściwie
włoka się dwie tragedje. Jedna — to
tragedja panny d'Espard, która zaszła w
ciążę z hrabią — defraudantem, a po
jego aresztowaniu oddaje się w szopie na
sianie chłopa z pobliskiej farmy, żeby
mieć pozornego winowajcę swego ma-
cierzyństwa. Druga — to tragedia człowie-
ka, zwanego przez resztę kuracjuszków

„samobójca”, bo cierpi, jak mówi, na
manję samobójczą. Zdradziła go żona,
więc uciekł z domu z Krystjaną i przez
piętnaście miesięcy męczy się i waha
pomiędzy chęcią powrotu do żony i wstrę-
tem do jej czynu. Te obie tragedje są tak
zupełnie pozbawione jakichś mocniejszych
momentów, są tak bardzo przyziemne i
oparte na drobnych wyrachowaniach, a
nie na uczuciach, że zamiast grozy albo
współczucia budzą wstręt i niesmak
tylko do ludzi i życia. Bo trzeba przy-
znać, że tak właśnie przeważnie wyglą-
dają w życiu tragedje uwodzenia i zdra-
dy, a mistrzowski styl Hamsuna i jego
realizm psychologiczny sprawia, że na-
rzuca on nam pesymistyczny światopogląd,
i z każdą przeczytaną stronką gaśnie
przed nami jedna iskra złudzenia.

Alto przeciw musi być wyście z tego
grzeszawiska, na to wyjście czekamy, za-
damy go, Hamsun wskazuje je nam: owo
wyjście — to śmierć. Od samego począt-
ku wiśni nad sanatorium jakieś przekleń-
stwo śmierci. Zgon z choroby, nie-
szczęśliwe wypadki, następują szybko je-
den po drugim, i ten tylko, kto umarł,
zrzucił wreszcie maskę z twarzy. Śmierć,
to „Ostatni rozdział”. Umierają prawie
wszyscy, których poznaliśmy bliżej na
Torahus, — tylko jeden „samobójca”,
wciąż żyje i liczy trupy ze zjadliwym u-
śmiechem na ustach. I pozostaje przy
życiu wtedy nawet, kiedy plomienie o-
garnęły piękne sanatorium i pożarły
wszystkich, którzy nie zdążyli odejść z
pojedynkę. Unika śmierci i wraca do
swojej córki w Krystjanji. Pozostaje
przy życiu również panna d'Espard i
pierze pieluski dla swojego nieprawego
dziecka w chacie chłopca, którego oszu-
kała. Zostali więc ci właśnie, którzy
najbliżej byli śmierci. Ale to, że żyć bę-
da nadal dla swoich dzieci, nie roznosi
mroków powieści, nie budzi nadziei, bo
pozostają smutni i zmęczeni, przez
przypadek jakiś, przez paradoks.

Ten dziwny koniec „Ostatniego roz-
działu” jest zupełnie logicznym zakoń-
czeniem powieści, która cała jest dzi-
wana, ale tak prztem ponura, że niema
w niej miejsca ani na odrobinę humoru.
Chciałoby się bardzo traktować ją jak
groteskę, i możeby to się udało, gdyby
nie była tak bardzo prawdziwa.

JK.

Heine

Monografia Ottokara Fischera

Nowe ujęcie twórczości poety

W „Euphorionie” René Wellek recen-
zuje najnowszą monografię Ottokara Fi-
schera o Heinem. Sprzecznym poglądom,
reprezentowanym dotychczas przez prace
Maksa Wolfa, który naciskał kładzie wy-
łącznie na twórczość poetycką Heinego,
i Hermana Wendla, wysuwającego na
plan pierwszy rewolucyjną rolę Heinego,
przeciwstawia Ottokar Fischer stanowi-
sko zupełnie oryginalne, utrzymując, że
rewolucyjność była tylko jednym ze sta-



HENRYK HEINE

dów przejściowych tego nastrojowca,
sceptyka i eksperymentatora. Jedno-
cześnie odrzuca Fischer dotychczasowe oce-
ny liryki Heinego. Najniższą stawia „Buch
der Lieder”, która zawiera „egoistyczne
zacieśnienie natury”, w „Der neue Früh-
ling” znajduje tylko epigonizm i pełną
konwencjonalizm pustkę. „Nordsee” jest
dla Fischera już oczyszczeniem przez e-
lementy natury, cykl „Verschiedene” sta-
nowi, jego zdaniem, jeden z najważniej-
szych etapów na drodze do zupełnej do-
rzości artystycznej Heinego. Lirykę Hei-
nego ocenia Fischer z punktu widzenia
wytłaczanych przyszłego rozwoju poezji.
W tem oświeśleniu szczytem twórczości
Heinego staje się szereg wierszy społecz-
nych i politycznych, jak „Ratten”, „Skla-
venschiff”, „Der Philantrop”, „Jammer-
tal”, „1649—1793??”, gdzie Fischer pod-
kreśla kunszt odnalezienia „możliwej nie-
możliwości dzieł świata” — szczegól-
nego znaczenia nabierają też wiersze do
Mouche, które przez połączenie intelek-
tualizmu ze zmysłowością przygotowują
przeciwomiatywny rozwój poezji. Zda-
niem Fischera, proza Heinego ma bez
porównania mniej wartości niż jego poe-
zja.

Zdobycze pozytywne prozy Heinego
ograniczają się do tendencji aforystycz-
nych i fragmentaryczności, prowadzą-
cy kunsztowi pisarstwu Njetschego,
drugiej zaś strony do komedijowego spo-
sobu widzenia ludzi, który staje się punk-
tem wyjścia zwróconego przeciw miesz-
czanstwu i filistom teatru Hauptmanna,
Wedekinde i Sternheima. Zdaniem Wel-
leka, Ottokar Fischer nie docenia po-
zornego braku formy w szeregu pro-
zaicznych pism Heinego; nie docenia też
jego roli jako krytyka sztuki.

Monografię swoją podzielił Fischer na
dwie części: „Żywot i „Dzieło”. Część
biograficzna nie operuje zresztą zupełnie
nowym materiałem; dokładne skontrolo-
wanie znanych już źródeł pozwoliło tylko
autorowi, kierującemu się stałe założe-
niami heinowskimi, zmienić ocenę etycz-
ną wielu faktów. W rozdziale końcowym
„Cierpienie i wyzwolenie” pierwszego
tomu wskazuje Fischer na prawo cykli-
cznego powrotu w życie Heinego, ukaza-
nie się Mouche jest dlań dopełnieniem
wewnętrznego obrazu. Pomiędzy biogra-
fią a analizą dzieła umieścił autor biblio-
grafię, która daje krytyczny przegląd ca-
łej literatury wraz z przedstawieniem po-
lemiki o Heinem i próbę naskikowania
tematu „Heine

nr. 15

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

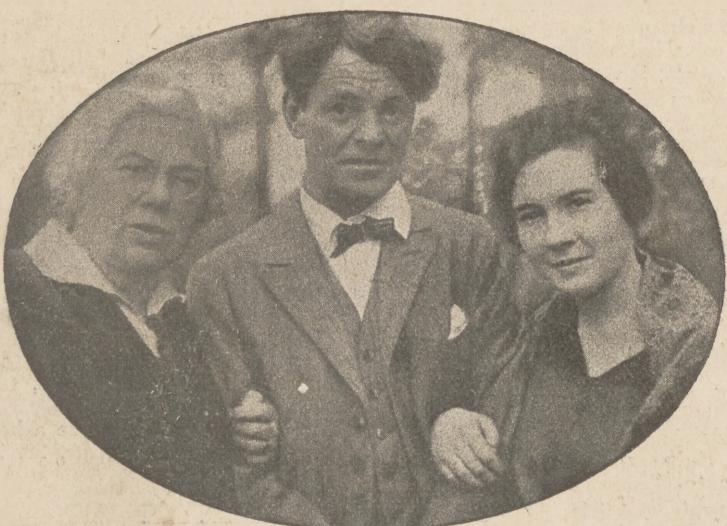
nr. 15

Wydawnictwo GEBETHNERA & WOLFFA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH

Cena zł. 2.50

N o t a t k i



TATJANA Z TOŁSTOJÓW, ALEKSANDER MOISSI (świełny odtwórca Fiedt w „Żywym trupie”) i CÓRKA TATJANY Z TOŁSTOJÓW

Rehabilitacja pani Tolstoj.

Tatjana z Tolstojów Suchotina, córka wielkiego pisarza, przedsięwzięła kampanię odczytowa, mającą na celu zrehabilitowanie pamięci swej matki, Zofii, na którą zwało winę za wszystkie nieszczęścia rodzinne Lwa Tolstoj. Tatjana Suchotina charakteryzuje początkowo stosunki małżeńskie jako przyjazne i serdeczne. Nieskądinąd rozpoczęły się od chwili, kiedy Tolstoj doszedł do przekonania, że w imię uczciwości i sprawiedliwości powinien zrezygnować ze swego majątku. Tutaj wywiązała się walka pomiędzy kobietą a matką dziewczynki, myślącą nade wszystko o ich przyszłości, a mężczyzną, rządzącym się abstrakcyjnymi przesłankami ideału. Skończyło się w rezultacie kompromisem: Tolstoj nie rozdzielił majątku między biednych, lecz zrzekł się go na rzecz żony i dzieci. Jednakowoż sytuacja załagodziła się tylko na jakiś czas: wkrótce spory wybuchły ze zdwojoną siłą. Dalsze dzieje małżeństwa i martyrologia obu stron, z których żadna właściwie nie zawiniła, są znane. Tatjana Suchotina maluje Zofię Tolstoj jako wzorową matkę, oddaną całkowicie szczęściu swych dzieci.

Niemieckie czasopisma krytyczne.

W doskonałym piśmie „Die Neue Bücherschau” stwierdza Gerhart Pohl, że współczesne Niemcy nie posiadają ani ciekawej poezji, ani twórczej krytyki. Poezja dzisiejszych Niemców to tylko „zabawa, bez napięcia i idei, formalnie nerwowo-ekscytacyjna lub konwencjonalnie-banalna, pod względem duchowym albo daleka współczesności albo zakłamana”. Prasa właściwie nie robi dla literatury: uwzględnia ją o tyle, o ile tego wymaga sensacja lub interes. Wyjątek stanowi „Frankfurter Zeitung”, która usiłowała wartościować masową produkcję książkową. Czasopisma polityczne, kulturalne i fachowe przeważnie obracają się w kręgu swoich specjalności. Z czasopism literacko-krytycznych wydzielić trzeba grupę organów czysto księgarskich („Nimm und lies!”, „Der Bücherwurm”, „Der Vorhof”, „Das Kuckucksei”). Jedynymi niezależnymi pismami krytycznymi są właściwie „Die Literatur” i „Die Schöne Literatur”. „Die Literatur” daje do możliwie kompletnego wyczerpania tematu, co wobec nawalu materiału często sprowadza ten przegląd do pozabawionych krytycyzmu referatów. „Die Schöne Literatur” jest organem uczonych filologów; odznacza się sumiennością w rejestracji i ciasnotą w ocenie. Rozumnie i z poczuciem związku z rzeczywistością prowadzone jest pismo „Outsiders”. Ostatnią nowością w dziedzinie czasopiśmiennictwa krytycznego jest miesięcznik „Arbeiterliteratur”, wychodzący w Wiedniu pod redakcją dr. J. Wertheimera; ma on na celu badanie światowej literatury rewolucyjnej z punktu widzenia naukowego marksizmu. Pismo to, o określonej ideologii politycznej i ograniczającej się tylko do pewnej kategorii literatury, jest z natury rzeczy jednostronne.

— S. H. Sargent w „Bookman's Journal” porusza palące zagadnienie niszczenia rękopisów pośmiertnych. Edward Larocque Tinker w jednym z niedawno ogłoszonych artykułów oznajmia, iż spalono szereg listów Washingtona. Tinker szukał w „Morgan Memorial Library” rękopisów Lafcadio Hearn'a i dowiedział się o bibliotekarkę, że pewna ich część została spalona. Oburzeniem Tinkera oświadczyła bibliotekarka, iż sama w tymże pokoju zniszczyła listy Washingtona.

— Redaktor „International Review”, dr. Clifford Smyth, pisze o anonimowym wydaniu pierwszej książki Emersona „Nature”, zwracając uwagę na rewolucyjną rolę Emersona w czasie gdy Ameryka stała się niewolniczo za Anglią.

— W Wiedniu ukazał się p. t. „Der unbegabte Goethe” zbiór zajmujących krytyk z czasów poety, skierowanych przeciwko jego twórczości.

— „Dickens Fellowship” zakupiło w Londynie na Doughty Street 48 dom, w

k którym Dickens pisał „The Pickwick Papers”, „Olivera Twista”, „Nicholas Nickleby”, gdzie przeżył jeden z najpiękniejszych okresów życia i twórczości. Ma tu być muzeum Dickensa, galeria obrazów i miejsce zebrań jego miłośników.

— J. A. Stuart, którego książka o Stevensonie wzbudziła żywe zainteresowanie, przygotowuje powieść ze Stevensonem jako głównym bohaterem. Ma to być „płomienny romans miłosny, odsłaniający oblicze Stevensena takim, jakie było naprawdę”.

— Ciału Barbey d'Aureville, pochowane na cmentarzu Montparnasse, zostało ekshumowane i przeniesione na cmentarz Saint-Sauveur-le-Vicomte, gdzie spoczywa już brat jego, Leon. W związku z tą ceremonią nastąpiło otwarcie muzeum d'Aureville'ego.

— Dn. 3 maja b. r. na cmentarzu w Bourg-la-Reine odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika Leona Bloy, jednego z najwybitniejszych pisarzy francuskich doby przedwojennej.

— Znana niemiecka autorka, baronowa Handel-Mazzetti z Wiednia, pisze wielką powieść historyczną z początków XIX w. Pierwszą część p. t. „Das Rosenwunder” dzieje się w środowisku studentów w Jenie. Główna postać jest tu słynny Sand, zabójca Kotzebuego, wyidealizowany przez autorkę. Ponuro natomiast przedstawia się postać samego Kotzebuego, Rozmowa Sanda z Kotzebuem przed morderstwem posiada wielkie napięcie dramatyczne.

— Wydawnictwo „Nouvelle Revue Française” wypuściło szereg nowych powieści: „Ma Kimbell” Durtaina, „La Bonifas” de Lacretelle'a, „Tarramagnon” Fabre'a.

— „Książka pisaną termometrem” nazywa sprawozdawca „Journal Littéraire” powieść Jana Paulhana „La guérison sévère”. Powieść ta jest osnuta na przeżyciach człowieka chorego, notujących w gorące swoje wrażenia.

— Nowy utwór Ernesta Tollera nazywa się „Die Rache des verhöhten Liebhabers oder Frauenlist und Männerlist”. Jest to „szczęśliwa kukielkowa” w dwóch aktach, według kardynała Bandello.

— Czerwcowy numer „La Nouvelle Revue Française” zawiera „La mort d'Albertine” Prousta.

— Nr 16 „La Revue Française” przynosi nowelę Jerzego Clemenceau p. t. „Théodore Charançon, homme d'état”.

— Maurycy Rostand będzie produkował swoje poezje w music-hallach amerykańskich: tygodniowa gaża wynosi podobno około 3000 dolarów.

— Kompozytor włoski Giordano napisał operę „Grisia”, której treść jest zaczerpnięta z życia Rasputina.

— Znany kolekcjoner amerykański Józef Widerer kupił w Londynie od hr. Spencera obraz Tycjana „Wenus i Adonis” za milion dolarów. Kolekcję swoją, jedną z najwspanialszych na świecie, Widerer zapisał Filadelfii.

— Pewien dziennik angielski twierdzi, że wszyscy wybitni pisarze świata nosili brody. „Czy możecie sobie wyobrazić Homera bez brody?” pyta, a potem cytując Wiktora Hugo, Verlaine'a, Tennysona, Camoënsa, Zolę, Verne'a, Tolstoję, Turgeniewa, Carlyle'a, Daudet, Dickensa, Herodota, Alfonsa i t. d. i t. d.

— Ktoregós lemnego wieczoru Shaw przyszedł do teatru w lekkim palcie. Kiedy tak ubrany próbował wejść do krzesła, zatrzymał go odzwierzy i zażądał zdjęcia paltu. Shaw zdjął spokojnie paltu, i wtedy okazało się, że jest bez marynarki, w samej kamizelce. „Nie można tak, panie!” — krzyknął przerażony woźny. „Jako, — spytał flegmatycznie Shaw, — czy mam się jeszcze dalej rozbierać?” — i począł rozpinąć kamizelkę. Po krótkiej naradzie odzwierzy Shawa wpuszczono do krzesła w palcie.

— Pewien wielbiciel Marka Twaina przysłał mu jego fotografie, która nie odznaczała się zbytnim podobieństwem, i zapytał w liście, co pisarz o niej sądzi. Twain odpowiedział w następujący sposób: „Szanowny Panie. Jestem zdania, że fotografia Pana jest podobniejsza do mnie niż ja sam. Dlatego rozpinam ją oprawie i powieszam w swojej garderobie, zamiast lustra, przed którym codziennie się golię”.

Burza od Wschodu

W najbliższych dniach w nakładzie Krakowskiej Spółki Wydawniczej ukaże się książka Marii Dunin-Kozickiej p. t. „Burza od Wschodu”. Te wspomnienia z Kijowszczyzny z lat 1918—1920 poprzedził wstępem prof. Stanisław Estreicher. Wstęp ten przytaczamy w wyjątkach.

Krew jest płynem osobliwym. I łyżki także. Zrodzone z cierpienia, spadają z powrotem na dusze ludzkie jako posiew płodny i twórczy. Ona to budzą w duszy dalszych pokoleń zdolność do nowych czynów, naśladowczy instykt bohaterstwa, umiejętność i chęć cierpienia, nawet powtórnej śmierci, byle trwała myśl wielka, z której były zrodzone.

Kotłem, w którym krew i łyżki przetwarzają się na taki posiew twórczy, jest u narodów cywilizowanych piśmiennictwo, stworzone przez nie poezja i dziejopisarstwo. I u nas po każdym okresie krwi i łyżki zjawiała się natychmiast literatura, będąca ich przetworzeniem. Krwi i łyżki, przelanej po rozbiorach, zawdzięcza swoje piękno i wysoki lot nasza poezja XIX w. Z krwi i łyżki wygnańców wyrosła nasza literatura syberyjska, której wysokie znaczenie dla narodu, zupełnie wyjątkowe w dziejach wszystkich ludów Europy, ocenił i charakteryzował najlepiej Adam Mickiewicz na kartach t. II „Literatury słowiańskiej”.

Podobna do niej nowa gałąź literatury, jakiej żaden inny naród posiadać nie będzie, wyrasta w naszych oczach w latach ostatnich. Jest to literatura „kresowa”, opowiadająca nam, którzyśmy tych strasznych przejść w latach 1917—1920 nie przeżyli, o losach, o tej walce, jaką społeczeństwo polskie, wroście na kresach i z nimi zrosłe, stoczyło z burzą nadciągającą od Wschodu, a której uległo — narazie. Do nas dochodziły przez czas dłuższy tylko luźne echa. W ostatnich latach mnoży się opowieści, pozwalające coraz wszechstronniej odtworzyć ten nowy, heroiczny i męczenniczy zarazem, epizod naszych dziejów.

Po ogłoszonej przed trzema laty świętej „Pozdże” p. Zofii Kossak-Szczuckiej, po wydanej świeżo w Warszawie „Ostatniej placówce” p. Elżbiety z Zaleskich Doroszyńskiej, przynosi obecnie Krakowska Spółka Wydawnicza jako nowy tom tej literatury kresowej dzieło p. Marii Dunin-Kozickiej „Wszystkim tym trzem książkom są wspólne pewne cechy, pozwalające ująć je razem jako odrębną gałąź literatury. Są one obrazami przeżyć, doznanych przez pełne hartu i rozumu dusze kobiece. Są obrazami wiernymi, bo głęboko wrytymi w pamięć, niezapominającą nigdy takich wypadków. Ale te wiersze obrazu przeszły przez dusze niewieście dobre, tliwie, szlachetne, i noszą na sobie dzisiaj odpowiednio do tego zabarwienie uczuciowe. Pociągają czytelnika wyjątkową szlachetnością uczucia i wysokim lotem myśli. Dobrze wobec ciemnego, obłąkanego tłumu, chęć wyrozumienia i przebaczenia krzywd, zapomnienia na każdym kroku o sobie, umiejętność wniknięcia intuicją w głąb wypadków, przywiązanie gorące do ziemi rodzinnej, gotowość do ofiarnej służby dla niej, to wszystko złączone w całość z energią czynu i żywotnością niczem nie ugiętego ducha — oto piękne cechy, namiętnie kobiety polską rzuconą w odmęt burzy od Wschodu, a przebijające na kartach tych trzech wybitnych dzieł, jakimi szczytami tylko może nasza państwotwórcza literatura ostatnich lat. Tylko dawna, głęboko w duszach wywołana, z pokolenia na pokolenie przekazywana chrześcijańska i zachodnia kultura mogła pozwolić na przetworzenie ohydnych wypadków w tego rodzaju rapsod miłości i ofiary.

W szczegółach każda z tych prac różni się od innych zależnie od właściwości indywidualnych i od punktu, z którego wypadki były przeżyte i obserwowane. Książka p. Kozickiej przynosi nam opis zdarzeń, których widownią jest Ukraina, a punktem centralnym Kijów. Przeżywa więc wraz z nią tak doniosłe wypadki, jak stworzenie rządu tymczasowego i rzućcie w masę „rozkaz nr. 1”; jak i zwycięstwo Ukrainy „samostijnę” w marcu 1917 r.; jak pokój berzeski i okupacja Ukrainy przez Niemcy i Austro-Węgry w r. 1918; jak ich wycofanie się i wejście hord Petlury do Kijowa; jak szybkie opuszczenie przezeń Kijowa i krwawe rządy bolszewików w pierwszej połowie 1919 r.; jak wzrost i upadek niefortunnej kontrakcji Denikina we wrześniu i listopadzie 1919 r. Wszystkie te wypadki kreśli autorka sposobem nie kronikarskim czy historycznym, dążącym do obiektywności i ujęcia całości, ale własną indywidualną metodą. Rzuca na ekran coraz to nowe obrazy przeżyć przez siebie chwil i wypadków, a wszystkie te zdjęcia, pełne trafnych spostrzeżeń, żywych dialogów, charakterystyk działających osób, umuje w zaokrągloną całość. Pomimo nowelistycznej formy uderza ich prawdziwość, zarówno w każdym charakterystycznym szczególe, w każdej dacie, w każdym zacytowanym nazwisku — tu i ówdzie tylko ze względu na każde mu zrozumiałym zatajeniem, — jak i w całym głębiej podmalowanym tle, na które autorka stara się rzucić każde ze swych opowiadań. Na tle takim nawet wypadki potoczne i domowe nabierają znanego symptomatycznego znaczenia i budzą szerszy interes.

Wybitną cechą książki jest wysoki

kunszt pisarski w ujęciu szczegółów i całości, podobnie jak to ma także miejsce w książce p. Kossak — Szczuckiej. Autorka umie przedstawić przejmującą grozę i ohydę scen przeżytych, żeby tylko wskazać jako przykłady charakterystykę kijowskiej czerezwycząjki albo opis „ogrodów tortury”, przechodzący o wiele fantastyczne opisy francuskiego powieściopisarza, bo oparty na prawdziwych i naglejszych przeżyciach własnych. Mroźne krew w żyłach jej opisy będą cytowane kiedyś jako klasyczne dokumenty dla poznania dantejskich scen, przez jakie przeszła polska inteligencja i ziemianstwo na Ukrainie. Ale nie tylko polska. Niektóre opracowane przez nią epizody, jak dzieje męczennicy Własowa, albo opowiadanie o awanturze ucieczki Liwena z bolszewickiego statku na Dnieprze, stanowią dokumenty historyczne, rzucające światło na tragiczne losy inteligencji rosyjskiej.

We wszystkich tych opisach podnieść należy wysoką przedmiotowość i etyczny punkt patrzenia na rozgrywane się wypadki i na głównych ich aktorów. Ansydu nienawidzi nawet do przesładowców, owszem wszędzie chęć wniknięcia w ich obłąkanie czy znieprawione dusze. Umiłowanie ludu ukraińskiego, tak barbarzyńsko starającego się zlikwidować polską działalność na kresach, prowadzi ją mimo wszystko do głoszenia hasła sprawiedliwości i przebaczenia wobec niego. Nad rozlaną krwią, nad ruiną dworów, nad poniżaniem i gwałtem narzuconym przez barbarzyństwo wyższej kultury, unosi się wszędzie szlachetne i miłujące serce kobiece, zesłane na świat, by współkochać a nie współnienawidzić.

Ale bo też nad wszystkim góruje miłość ziemi rodzinnej i poczucie płynących stąd obowiązków. Autorka kocha „kresy” rodzinne i umiała uczuciem tem przepoić swą książkę. Nie pyta, nie rozumuje, czemu posłana została na tę właśnie placówkę, ale całym instynktem duszy przylgnęła do niej i stara się niej wytrwać. Przemawia przez nią nieomylny instykt narodu, który wziął misję szczenia najwęższej, chrześcijańskiej cywilizacji, otrzymanej jako kosztowny dar Zachodu nado, aby ten dar odzwajemnił przekazaniem go młodszym swoim sąsiadom. To jest jego udział w spełnianiu przysięgi ludzkości i to jest jego najwyższa racja bytu. Dopełnienie tego przeznaczenia wymaga trudu i walki, wymaga ofiary i bólu od całości narodu i od składających go jednostek. Niejedna walka przegrana może się wydać daremną i niepotrzebną, jeśli ją mierzyć miarą użytkowego poglądu, a zwłaszcza miarą ośobistego szczęścia. Ale nie miarą życia i powodzenia jednostki, nawet nie miarą szczęścia całych pokoleń, walki takie mierzyć się winno. Bój to na długą metę, toczy się od wieków i długie jeszcze wieki trwać mający. Wypadki, w tej książce opisane, z tego stanowiska sędzią należą. Małoduszna dezercja z placówki, uchylenie się dobowolne od cierpień, ofiar i przesładowań prowadziłoby pewną drogą do ponizienia powagi i znaczenia elementu polskiego, byłoby prawdziwą klęską moralną narodu. Wielka żywotność, jaką żywił polski, reprezentujący na kresach godność narodu, umiał okazać w czasie największych przesładowań, jego wytrwałość, energia, sprawiedliwość i wyższa etyczna kultura, ujawniane na każdym kroku, jego wierność hasłom zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji i męny opór wobec huraganu barbarzyństwa, ciągnącego od Wschodu, to posiew dla przyszłości i podstawa wiary w ostateczny zwycięski wynik. Zburzone wspaniałe dwory, poniszczono folwarki i osady szlacheckie, zrabowano cały polski dorobek kulturalny, wymordowano tysiące ofiar w pogromach i czerezwycząjkach, wgnano z kresów setki tysięcy najwęższych ich synów, jednak walka nie jest przegrana — dopóki na tych kresach imię „Polak” oznacza człowieka wyższej kultury i niezłomnego ducha. Książka p. Kozickiej, którą Krakowska Spółka Wydawnicza przedstawia dziś publiczności, jest dokumentem kreślącym jeden z najdramatyczniejszych epizodów takiej walki, której cel daleki, i tej klęski, która z czasem przerodzi się w zwycięstwo. Idzie w świat z zadaniem, aby przeciwstawić się wszędzie, gdzie dotrze, małościsny poglądów i zwątpienia w ostateczny rezultat tej krwi przelanej i tych łyżek ludzkich, o których opowiada.

„ISKRY”

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY nr. 29—30

Z. Michler: Romantyk i pozytywista. — W. Prażmowska: Pokój wody. — J. Czarniecki: Morawskie jaskinie. — Ciekawe i nieciekawe. — A. Stodor: Krwawy kontur. — Amundsen i jego wyprawy podbiegunowe. — E. Słoiński: Polowanie na wilki. — T. C. Bridges: Napowietrzni żeglarze. — Z życia harserskiego. — Kącik dobrych znajomych. — i wiele innych.

Cena zł. 0.45

Druk i mowa

Komitet redakcyjny: adw. Henryk Cederbaum, adw. Mieczysław Ettinger, adw. Jan Nowodworski, adw. Franciszek Paschalski, prok. Kazimierz Rudnicki, adw. Stanisław Szurley, Prok. Kazimierz Rudnicki. Adw. Eugeniusz Śmiarowski. Adw. Jan Nowodworski. Adw. Mieczysław Ettinger. Adw. Stanisław Szurley. Adw. Franciszek Paschalski. Adw. Kazimierz Sterling. Adw. Tadeusz Wróblewski. Ppork. Józef Wasserberger. Adw. Jerzy Berland. Adw. Mieczysław Jarosz. Mowy sądowe. I. Zebrał i opracował dr. Szymon Gelernter. Przedmowa opatrzył Cezary Ponikowski. Warszawa, F. Hoessick, 1925; str. 214 i 2nl.

Wymowa to jedno, a drukowana mowa to co innego. Mowy sądowe w druku — te „projekcje” wymowy sądowej na papier — odbijają niezupełnie wiernie drogę, po której chadza wymowa sądowa dla zdobycia wszystkich cech, jakie są właściwe jej pojęciu. Niezupełnie wiernie... Bo druk, bez nieodstępnych towarzyszy wymowy — głosu, intonacji, fizycznej emocji — fałszuje rodzaj, do którego mowa należy. „Projekcje” wymowy na papier są tylko osobliwym rodzajem literatury. Drukowana mowa — to artykuł, nowela, traktat...

Wielka mowa w sprawie głośnego watazki znalazła uznanie słuchaczy. I „komitetu organizacyjnego” również, który uznał ją za godną uwiecznienia. W druku jest ona zgola nieczytelna. Jak to się stać mogło? „Un discours illisible est un mauvais discours”? Jeśli to prawda — to jakie są te tajemnicze stosunki bezpośredniej słuchowej percepcji i pośredniej wzrokowej — sprawiające, że rzecz, tam doskonała, tu staje się nieznosna? Czy taka niespodzianka nie usprawiedliwia wątpliwości czytelnika: a nuż mowa, doskonała w druku, była zwyczajnie niegodziwa w wypowiedzeniu? Gdzie tu sprawdzić? I jak tu sądzić o wymowie — z „projekcją”? Nieprzenikliwość rodzaju!

Wątpliwości to poważne. I ostatecznie trudne do usunięcia. Ale trzeba się z nimi pogodzić i o nich zapomnieć. Bo jakkolwiek dobra mowa w druku może dać wygórowane albo zgola fałszywie dodatnie pojęcie o mowie, a zła — fałszywie ujemne, w sali sądowej — tym niezawodnie trafny znawcy i ekspersie — prawda zawsze triumfuje. Przynajmniej co do słusznej oceny walorów mowy. „Les reputations se font au palais” — powiada historyk francuskiej adwokatury. Sala sądowa, jak na apokaliptycznej wadze, oceni mowę sądową — z dokładnością subtelna. A choć pióro może dać iluzję doskonałej mowy, nie da ono ani rekonstruować, ani bezpośredniość wrażenia. Cóż robić! Nawet pisane mowy Demostenesa nie dają dokładnego pojęcia o tym największym mówcy. Już Eschines wołał: „Coby to było, gdybyście słyszeli samego „potwora”!

Znam wszystkich tych „potworów”, którzy złożyli się na „Mowy sądowe”, słyszałem ich wielokrotnie, i nieobecnie mi są ich osobliwości mówców sądowych. Nie sądzę jednak, aby którykolwiek z posród nich — z wyjątkiem jednego — mógł mniemać, że z ich przemówień, w tej książce oddanych, możnaby i należałoby, metodą Cuviera, odtworzyć te osobliwości jako znamienne, ostateczne — i pouczające. Tem bardziej, że autorami są ludzie przeważnie młodzi, z przyszłością, i m W e r d e n, w fazie rozwoju.

Jeden tylko z mówców — autorów, zgłosił niedawno wileński mistrz Tadeusz Wróblewski wyraża mocno i charakterystycznie nad swych młodych, w przyszłość patrzących kolegów. Z jego obrony, wygłoszonej w sprawie zabójcy metropolity Jerzego, wygląda imponująca umiejętność i śmiałość przejmującej analizy, która nie chce być zreżną, ale zdecydowanie prawdziwa, chociażby ta wypowiedziana prawda nie mogła być dostatecznie oceniona przez nas, dzisiaj osobliwie nastawiona, wrażliwość. Ten wielki adwokat, do nielicznej rodziny prawdziwych mówców należący, człowiek o zmieniach duchowych nastrojach, zachował charakterystyczny dla swego pokolenia cześć dla autonomii jednostki — inconstanti pectori sententia constans — i chce zmusić sędzię do uznania wewnętrznej jaźni przestępcy — za punkt wyjścia dla wyroku. Bez nadziei powołania, z wyniosłą, chwilowo drażniącą, ale zapładniającą, nielitościwą przenikliwością, obnaża jednakowość pewnych politycznych metod oddziaływania, stosowanych w rozmaitych chwilach i warunkach, i każe w zbrodniczym geście widzieć nie antypatyczną zbrodnię, ale fatalny wynik zapoznanej przez te metody zasady moralnej. A zimne słowa wystygłej pozornie starczej duszy kryją wciąż jeszcze niewygasły ogień przekonania — i bez żadnej retoryki, z klasyczną oszczędnością środków podnoszą obronę do najsłabszego poziomu, do jakiego dążyć może — poziomu służby społecznej.

Jak klasyfikować rozmaite twórczości „mówców sądowych” i czy można ją klasyfikować? Cechą wspólną prawie wszystkich autorów — mówców jest przewaga rysunku nad kolorytem, rozumowania nad obrazowaniem; tylko w mowach adwokatów Śmiarowskiego i Szurleya widać, rozmaitością zrealizowane, dążenie do plastyki i wypukłości. — Jako analistę bardzo wytrawnego, z tchnie-

nem szerokim, z pięknym humanitarnym odcieniem uczuciowości i z powagą nakazującej woli — czytelnik odróżni prokuratora Rudnickiego; a jego oskarżycielska mowa w sprawie zabójcy — samobójcy Smoleńskiego, sprawie intrygującej, o splatanych, niepewnych zagadnieniach psychicznych, wytrzymuje zwycięsko próbę druku. Analistami również o rysunku jasnym, ale bez barwy, są przeciwnicy w sprawie Piotra Rokosowskiego — zabójcy żony; oskarżyciel prokurator Wasserberger i obrońca adwokat Berland; druk nie daje jednak właściwego pojęcia o ważnym w mowie sądowej pierwiastku „dynamiczności” tych dwóch rzeczników, z których adwokat Berland ma pod tym względem przewagę. W tym procesie zabójcy i ofiary, dwojga nieszczęśliwych, znieprawionych istot, czytelnik czeka na jakąś decydującą, skupiającą i objaśniającą syntezę, czeka jakiegoś szerokiego pedzła, co by odmalował ten poziomy i zwiklany ośrodek, który wypiastował tych ludzi — i odmalował ich samych.

Do kategorii obrony uczuciowej zaliczyłbym obronę adw. Sterlinga w sprawie dezertera Klotza i obronę adw. Jarosza w sprawie Wesolowskiego, zabójcy żony; bezwarunkowo obie te mowy, nieobecnie szlachetności wyrazu i trafności obrocznych środków, musiały wywrzeć poważne wrażenie; więcej wytrawnej łatwości posiada mowa adw. Sterlinga, więcej nerwu obrończego — adw. Jarosz.

Byłbym bardzo zadowolony, gdybym wypowiedział mowę adw. Mieczysława Ettingera w sprawie Ajzyka Kurca o otrucie; jest to mowa doskonałego technika, dobrego anality, czujnego rzecznika powierzonego adwokatowi honoru. Ale nie wydrukowałbym tej obrony; jest ona dobra; czekałbym — i przedkoby się doczekał — na lepszą — bogatszą tematem, materialem, charakterem.

Dlaczego tak sówicie przez opatrność obdarzony obrońcą, jak adw. Niedzielski, dał do druku mowę, która nie o autorze nie mówi, — nie wiem, gdybym nie znał adw. Niedzielskiego — nie poznałbym go z tej drukowanej obrony.

A jakkolwiek „narratio probans”, która jest formą obrony prezesa Banku Centralnego, Zawadzkiego, wypowiedzianej przez adw. Jana Nowodworskiego, jest formą trudną i w prostocie swojej zdradliwa, dał obrońca w niej dowody umiejętności i powagi; ale czytelnik nie umie całości tam, gdzie dla szczegółów poświęcono obraz ogólny i gdzie w zmułnieniu pracy zestawień gnieć zupełnie ten nieodłączny od pojęcia obrony pierwiastek akcji i oddziaływania.

Uważam adw. Śmiarowskiego za mówcę prawdziwego; lubię jego trochę ciężki chwyt, jego powolne tempo wzruszenia, jego stopniowane i szczerze przejęcie się; bliski natchnienia i dobrodusność. Ale z przyjemnością przeczytałbym inną jego mowę, a nie tę w sprawie Smoleńskiego o zabójstwie Gabiera. Lubie, aby rzeczy żywe — choćby o zabitych — w sposób żywy były przedstawione; i choć wierzę w naukę, zimny się staje i niezdecydowany, kiedy mi ktokolwiek, nawet jeśli to będzie adw. Śmiarowski, na zapytanie, czy Smoleński zabił, odpowie konfrontacją przypuszczalnych gestów Smoleńskiego z zastępnymi formułami przypuszczalnych prawd naukowych, zbyt długo cytowanych, — tworzą włoskiego socjologa.

Spodziewam się zawsze rzeczy pięknych od talentu adw. Szurleya. W sprawie krakowskiej o rozruchy 6 listopada dał obrońca to, czego można żądać od młodej energii, pewności przekonania, wyobraźni gorącej, słowa śmiałego i malowniczego. Groza wypadków i tragiczne zagadnienie winy targają nerwami i umysłami. Odbłask tej grozy i jej patosu widać w obronie adw. Szurleya. Tylko że sprawa ona wrażenie jak gdyby była wypowiedziana nie przez jednego, ale przez czterech różnych Szurleyów. Patos i żartobliwość, analiza prawna i polityczne exposé — mechaniczne zestawienie, rozmaite sposoby ujmowania faktów i idei nie są sposobem organicznym, po przez wielkie bogactwo sytuacji i tematu. Jest to niezupełnie zdekolorowana indywidualność; talent obrońcy wymaga jeszcze jakiejś ognio- wych próby, która stopi wszystkie różnorodne właściwości w jedną — jednolitą — całość.

Sprawa atamana Machno mogłaby być jedną z najciekawszych, jedną z takich, które nie potrzebowałyby usprawiedliwiać się przed czytelnikiem, a których brak w książce byłby nieusprawiedliwionym. Stało się inaczej; adw. Paschalski zwycięsko walczył o niewinność głośnego watazki, ale „projekcja” tej obrony na papier nie jest fortuna. Nieład gorącej elokucji, naturalny w sali sądowej, niedostrzeżony dzięki dykcji, brzmieniu głosu, — w zimnej książce razi kompletnie; i sumiennie obrońcy, który nie chce dyskutować różnicy druku i mowy — da rzecz szczerze niedobłą, nieprzekonywającą, nieudalą — w czytaniu.

A błędów smaku w „Mowach sądowych” jest względnie bardzo niewiele, i zarzut, tak popularny, adwokackiej rozlewnej gadatliwości — byłby niezasłuszony.

lo.

Teatr

Teatr Mały: „Nauczycielka”, komedia w 3 aktach **Darjusza Nicodemiego**; przedkład **Zofji Jachimeckiej**, reżyseria **Stanisława Stanisławskiego** i **Witolda Kuncewicz**, dekoracje **St. Śliwińskiego**.

Kinematograf się mści. Wzajemnie za tysiące odpadków, które literatura rzuciła na ekran, — kinematograf teraz oddaje literaturze to, co mu jest najcenniejsze: błahą fabułę melodramatycznego scenariusza. „Nauczycielka” Nicodemiego — to typowy tkliwy i wzruszający film z Lilianą Gish. Widzimy to świetnie w reżyserii Griffitha, z tą jednak różnicą, że burmistrz nie powinien mieć wąsów, które są przywilejem czarnych charakterów. Znalazłoby się wtedy zresztą i inne poważniejsze różnice.

Historia biednej nauczycielki promieniowała na ekranie jednolitą czystością ekspresji. Najdrobniejszy grymas smutku lub żałości przemawiałby do nas silniej od słów i okrzyków bólu — często bowiem sztuka odnajduje się w prostocie środków, w ograniczeniu, które stwarza trudności i rozkwita tam właśnie, gdzie najtrudniej zapuścić korzenie. Film „Nauczycielka” z Lilianą Gish w roli głównej osiągnąłby to, na co próżno sili się sztuka Nicodemiego.

„Nauczycielka” nie nauczyła nas niczego nowego — powtórzyliśmy z nią tylko starą lekcję o niesprawiedliwości ludzkiej, miłości macierzyńskiej i o porzach, które zawodzą. Dzieje się to wszystko jak gdyby za kulisami „Serca” Amicisa, w pokoju nauczycielskim obok klasy, gdzie siedzi w ławce Garrone i mały Kalabryczyk. Odór kłwiwości i fałszu, który bije z „Serca” Amicisa, króluje i w sztuce Nicodemiego. Już jako mały chłopiec nienawidziłem książki Amicisa. Niedawno, kiedy przeczytałem podobnie na wspomnieniach szkolnych opartą książkę Kiplinga „Stalky and Company”, uświadomiłem sobie, skąd było źródło tej animozji. Kipling rozumie i szanuje wstydliwość wzruszeń dzieciennych. Tam niema na każdej stronie płaczliwych komedii. Mali koledzy Kiplinga czerwienią się i chmurzą ze złości, gdy głupi belfer każe im całować sztandar angielski, a dzieci Amicisa wycierają sobie płaczliwie nosy w sztandar włoski na każdej niemal stronie „Serca”.

„Nauczycielka” nie jest sztuką dla chłopców ani dla dorosłych mężczyzn, jest to przedstawienie dla kobiet. Wszystkie one będą chlipyły żałosnie, patrząc na odnalezienie dziecka. Egzaltacja kobiety, która odnajduje po sześciu latach niewidzianą nigdy własne dziecko, zrodzone z ojca i taty i bandyty, nie porwa nas ani trochę. Kobiety, które robią wszystko, aby właśnie nie mieć dzieci, najbardziej będą się wzruszały tym melodramatem. Sztuka bowiem jest od tego, aby dawać przeżycia, które w życiu są niewygodne.

Pani Gromnicka wytrzymała swą rolę w momentach lirycznych, ale zalała się w dramatycznych efektach drugiego i trzeciego aktu. Pan Kuncewicz grał niedelikatnego brutalą i chama, który — jak się okazuje — ma złote serce i jest dzielnym człowiekiem. I on również w pierwszym akcie był bardziej przekonujący. Pani Czaplinska i p. Fritsche w rolach epizodycznych nie pokazali nic nowego. Były to szablonowe przyzwyczajenia, ale nudne.

Przedstawienie kończy się przed dzieśiątą, co ze względu na dzieci, biorące udział w widowisku, godne jest pochwały.

Antoni Slonimski.

O paszporty dla literatów

Wydział polityczno - prasowy prezydium rady ministrów zawiadamia nas, iż podane przez p. Juliusza Kadena - Bandrowskiego w artykule „Mała rzecz a wstyd” (nr. 77) dane nie są ściśle, gdyż zaświadczenia na paszport ulgowy nie odmówiono ani jednemu literatowi zśród tych, którzy złożyli w wydziale umotywowane prośby o tego rodzaju zaświadczenie.

*

W tej samej sprawie otrzymujemy następujący list:

W nr. 77 „Wiadomości Literackich” w artykule p. t. „Mała rzecz a wstyd” poruszyłem sprawę trudności, jakie napotykają koledzy moi, członkowie Zawodowego Związku Literatów Polskich, przy otrzymywaniu z wydziału polityczno-prasowego przy prezydium rady ministrów zaświadczeń, udostępniających ulgowe paszporty za granicę.

W odpowiedzi na powyższy artykuł p. Julian Ejsmond w „Gazecie Porannej” z dn. 27 czerwca b. r. w dialogu p. t. „Z łuku mierzył, w nas uderzył”, dialogu, prowadzonym przez siebie pomiędzy mną a moim pseudonimem, — stwierdza, że kol. Miller i Kozikowski, po umotywowaniu potrzeby wyjazdu za granicę „zaświadczenie” otrzymali, oraz, że „zjeżdżając w swej odezwie wydział polityczno-prasowy prezydium rady ministrów”, niepotrzebnie narobiłem tyle hałasu.

W sprawie powyższej nie chodzi oczywiście, ani o żręczność, czy piękno dialogu kol. Ejsmonda, ani o wdzięk stylistyczny mej „odezwy”, — lecz o dobro naszych wspólnych kolegów, pragnących wyjechać za granicę.

Z tego względu, jedynie sprawą dobra koleżeńskie powodowany (dla siebie otrzymałem potrzebne zaświadczenie w przeciągu 24 godzin), stwierdzić muszę, iż wbrew dialogowi kol. Ejsmonda pp. Kozikowskiemu i Millerowi zaświadczeń na wyjazd za granicę odmówiono. Stało się to, w myśl posiadanego przeze mnie aktu z dn. 4 czerwca b. r. za nr. 9662 za podpisem naczelnika wydziału polityczno-prasowego prezydium rady ministrów, A. Romera.

Koledzy ci, otrzymawszy kategoryczną odmowę na piśmie, zwrócili się do mnie, jako do prezesa warszawskiego związku. Ze swej strony zwróciłem się do p. Ejsmonda, jako do funkcjonariusza danego wydziału, przedstawiając sprzeczność między odmową za nr. 9662 a znanym w tej materii rozporządzeniem premiera Grabskiego.

W rozmowie, jaka się na ten temat między p. Ejsmondem a mną wywiązała, dowiedział się p. Ejsmond ode mnie, że sprawę tych trudności poruszę publicznie.

Ze względu więc na ścisłość stwierdzić należy, że kolegom Kozikowskiemu i Millerowi zaświadczeń odmówiono, że trzeba było, mimo posiadanego Zawodowego Związku Literatów Polskich, stałowiennictwa, ingerencji, oraz że mój artykuł w „Wiadomościach Literackich” odzwierciedla istotny stan rzeczy.

Juliusz Kaden-Bandrowski.

*

Tak czy inaczej, należy stwierdzić, że sprawy paszportów zagranicznych dla literatów są załatwiane obecnie w prezydium rady ministrów z wyjątkową uprzejmością, sprawnością i szybkością.

Z wystawy w Szkole Sztuk Pięknych



JANINA KONARSKA: Z teki graficznej

OWOCZESNA AJTAŃSZA AJPRZYJEMNIEJSZA AJKRÓTSZA AJWYGODNIEJSZA AJBEZPIECZNIEJSZA

podróż do GDAŃSKA, LWOWA, KRAKOWA i WIEDNIA

tylko samolotami Polskiej Linii Lotniczej, które kursują codziennie

Informacje:	Warszawa:	Zarząd, Nowy Świat nr. 24, tel. 9-00	Lotnisko, ul. Topolowa „ 8-50
	Kraków:	Ekspozytura P. L. L., Św. Anny nr. 4 „ 32-22	
	Lwów:	Ekspozytura P. L. L., Hotel George'a „ 6-10	
	Gdańsk:	Zastępstwo P. L. L., Lotnisko Wrzeszcz „ 415-31	
	Wiedeń:	Przedstawicielstwo P. L. L., Wiedeń I, Tegetthof „ 72-5-75	

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ,
PARYZ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

POLECA
WYDAWNICTWA Z OSTATNICH DNI

<i>Barszczewski St.</i> —Czandu. Powieść z XXII wieku	6.—
<i>Bornsteinowa J.</i> —Zasady klasyfikacji dziesiętnej. Podręcznik bibliotekarski	4.—
<i>Brzeziński J.</i> —Hodowla warzyw. Wyd. 4	6.50
<i>Chrzczanowski Ign.</i> —Romantyzm polski wobec konstytucji 3 maja (B. U. L. i M. S. 224)	0.50
<i>Dorożyńska El.</i> —Na ostatniej placówce. Dziennik z życia wsi podolskiej w latach 1917—1921, z przedmową Artura Górskiego	10.—
<i>Goetel F.</i> —Ludzkość. Dwa opowiadania	3.50
<i>German J.</i> —Iwanka. Powieść	6.—
<i>Grimm A. L.</i> —Powieści z tysiąca i jednej noc. Dla młodzieży. Przekład polski. Wyd. 8. z siedmioma rycinami kolorowymi i barwną okładką T. Sopoćki	7.50
<i>Henderson C. H.</i> —Nowe wychowanie („What is to be Educated”), tłumaczyła I. Moszczeńska	10.—
<i>Krasiński Z.</i> —Liryki—wzbór. Wyd. 2, znacznie powiększone (B. U. L. i M. S. 144)	0.60
<i>Lewicki A. dr. pr.</i> —Zarys historii Polski—opracował i uzupełnił Jan Friedberg (w „dodatku”, literatura historyczna). Wydanie szkolne 12	7.—
<i>Mickiewicz Adam.</i> —Liryki. Wyd. 2 (B. U. L. i M. S. 129)	0.60
<i>Małaczewski E.</i> —Tam, gdzie ostatnia świeci zubienica. Opowiadanie z dziejów tułaczki żołnierza polskiego na obczyźnie w latach wielkiej wojny (B. U. L. i M. S. 223)	0.60
<i>Bogucka C. i Niewiadomska C.</i> —Wypisy polskie na klasę pierwszą. Wyd. 18.	3.—
<i>Niewiadomska C.</i> —Drugi rok gramatyki, klasa I. Wyd. 18, przystosowane do programu M. W. R. i O. P.	0.80
<i>Ossendowski F.</i> —Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów (konno przez Azję Centralną) 10—13 tysięcy	8.50
<i>Ostrowski J.</i> —Chorągiew na dachu. Powieść	6.50
— Sztandar na maszcie. Powieść	5.50
<i>Prus Bolesław (Al. Głowacki).</i> —Faraon. Powieść, tom I/III. Wyd. 6.	18.—
<i>Reymont W. S.</i> —Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVI. Ave Patria. Wyd. 4	6.—
— Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVII. Marzyciel. Wyd. 2	5.50
<i>Sienkiewicz H.</i> —Quo vadis? Powieść z czasów Nerona. Wydanie nowe broszura karton	5.—
<i>Schiller Fr.</i> —Maria Stuart. Tragedja w 5 aktach. Przekład M. Budzyńskiego. Wyd. 2. (B. U. L. i M. S. 160)	6.—
<i>Tokarz W. prof.</i> —Wysocki i noc listopadowa, z 4 il. w druku	1.20
<i>Hoene-Wronski.</i> —Propedeutika mesjaniczna. Elementy filozofii absolutnej. Przekład z francuskiego Paulin Chomicz	2.—

Informacje bibliograficzne

dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Bibliografia

Inż. **Józef Tuleja**. Dola książki polskiej. (Odezwa do opinii publicznej). Lwów, nakładem autora, 1925; str. 31 i 1nl.

Historia literatury, krytyka estetyczna

Karol Badecki. Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku. Monografia bibliograficzna z słowem wstępem **Aleksandra Brücknera** i 200 podobiznami w tekście. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1925; str. XXXVIII i 2nl. i 543 i 1nl. Zł. 60.—

Powieść, nowela

Pierre Benoit. Studnia Jakóba. Powieść. Przetłóżył z francuskiego **Bolesław Ostoja - Soszyński**. Paryż, „Mundus”, 1925; str. 283 i 3nl.

Biblioteka „Torpedy”. Nr. 1. **M. S. Sullivan**. Klub czarne gwiazdy (awanturzystwo przygód amerykańskiego miliardera i jego córki). Przetłóżył **Kazimierz Rychłowski**. Ilustrował **Edward Kuzubski (Lu - Can)**. Lwów, Spółka Akcyjna Wydawnicza, 1925; str. 56. — Nr. 2. **Jan Veith**. Złodziej z Harold Castle (z przygód Sherlocka Holmesa). Przetłóżył **Tenże**. Ilustrował **Tenże**. Tamże, 1925; str. 32. — Nr. 3. **Tenże**. Tysiąc dolarów (z przygód Sherlocka Holmesa). Przetłóżył **Tenże**. Tamże, 1925; str. 24. — Nr. 4. **Kazimierz Rychłowski**. Zbój Madej. Ilustrował **Alfred Gürtler**. Tamże; str. 40. — Nr. 5. **M. Larrouy**. Złota ikona. Przekład **K. Rychłowski**. Tamże; str. 48. Zł. 3.—

Teodor Jeske - Choiński. Tiara i korona. Powieść z XVI wieku. Z ilustracjami **T. Wolniewicza**. Wydanie drugie. Tomów 2. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1925; str. 4nl. i 394 i 2nl. (I), 4nl. i 384 (II). Zł. 6.—

Karola Dickensa Powieści wybrane. Klub Pickwicka. Wydanie nowe z 40 angielskimi ilustracjami. Tomów 2. Lwów, Lector - Polonia, 1925; str. 375 i 1nl. (I), 289 i 1nl. (II). Zł. 9.—

Józef Korzeniowski. Spekulant. (Okładka **Kamila Mackiewicz**). Warszawa, E. Wende i S-ka, 1925; str. 266 i 6nl. Zł. 0.95.

Cecylja Marion. Zośka. Powieść. Zamówienie, Zygmunt Pomarański i Spółka, 1925; str. 4nl. i 175 i 1nl. Zł. 3.30.

Utwory dramatyczne

Biblioteka Dramatyczna pod redakcją **Wiktora Brumera**. Tom III. **Wacław Rogowicz**. Dalila. Tragikomedja o Samsonie w 3 aktach. Warszawa, „Życie Teatru”, 1925; str. 62 i 2nl. Zł. 0.80.

Historia, pamiętniki, polityka

Co ułan krechowiecki o swoim pułku wiedzieć powinien (w dziesiątą rocznicę powstania pułku). 1915—1925. Warszawa, 1 pułk ułanów krechowieckich, 1925; str. 63 i 1nl. Zł. 1.50.

Adam Henryk Kaletka. Poznań a Henryk Waleczus. Odbitka z „Kroniki Miasta Poznania” 1925. Poznań, 1925; str. 31 i 1nl. Zł. 2.—

Antoni Ferdynand Ossendowski. Od szczytu do otchłani. Wspomnienia i szkice. Z 40 ilustracjami. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 364 i 4nl. Zł. 10.—

Dr. Michał Ringel, senator. Sprawa żydowska w Polsce. (Mowa wygłoszona na plenarnej posiedzeniu senatu dn. 13. 6. 1924 r. w czasie dyskusji nad budżetem na rok 1925). Warszawa, 1925; str. 29 i 3nl. Zł. 1.—

Charles Srolea. Wrażenia z Rosji sowieckiej. Przekład z angielskiego **Zofji de Bondy**. Częstochowa, A. Gmachowski, 1925; str. 4nl. i 257 i 3nl. Zł. 5.—

Sprawozdania pierwszego i drugiego komitetu rzeczoznawców mianowanych przez komisję odszkodowań (sprawozdania Dawesa i Mc. Kennay wraz z aneksami).

mi). Według urzędowego tekstu angielskiego. Warszawa, „Przegląd Polityczny”, 1925; str. 139 i 1nl. Zł. 6.—

Ks. **Marjan Tokarzewski**. Straż przednia (ze wspomnień i notatek). Wydanie pierwsze. Warszawa, Polski Instytut Wydawniczy, 1925; str. 290 i 2nl. Zł. 9.—

Geografia, krajoznawstwo, podróże

Biblioteka Wschodnia pod redakcją Polskiego Tow. Orientalistycznego. Nr. 1. **Tadeusz Kowalski**. Turcja powojenna. Lwów, Zakład Narod. im. Ossolińskich, 1925; str. XII i 191 i 1nl. Zł. 8.—

Edward Maliszewski. Polska dzisiejsza. Zarys geograficzno - statystyczny. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1926; str. 111 i 1nl.

Prawo, nauki społeczne

Hoesicka Teksty Ustaw Obowiązujących w Rzeczypospolitej Polskiej. Nr. 29. Dekret o spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością wraz z postanowieniami dopełniającymi. Opracował **Jan Namitkiewicz**. (Warszawa), F. Hoesick, 1925; str. 124 i 4nl. Zł. 3.—

Dr. S. Świętecki. Lekarze a kasy chorych. (Warszawa, 1925); str. 20. Zł. 0.50.

Nauki techniczne

Polskie placówki badawcze. Nauki fizyczne. Technika. Warszawa, Akademia Nauk Technicznych, 1925; str. VII i 1nl. i 135 i 1nl. i IX i 1nl. Zł. 7.50.

Sport

T. Sopoćko i **O. Grzymałowski**. Na tropach ludzi i zwierząt. Podręcznik dla harcerzy. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1925; str. 8nl. i 177 i 1nl.



MIESIĘCZNIK M. ARCTA

„AMERYKA — POLSKA”

numer 5 m. in. zawiera:

A. Parker: Zemsta i miłość lotników. — St. Mierza: Czego się uczyć w Ameryce. — St. Wężyk: U źródeł sił państwowych. — Tejmienica wdzęku i piękności. — Lewiatan w Polsce i Ameryce. — Hollywood. — O. Langer: Jak się należy ogłaszać. — St. Ruszkowski: „Pod Okrętem”. — M. H. Szpyrkówna: Prorok z puszcz.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE

Gena zeszytu zł. 2.50

Ostatni tom poezji

Gabrjela KARSKIEGO

p. t.

G R A

Skład główny: Tow. Wydawn. „IGNIS”

NAJWIĘKSZE I NAJPOCZYTNIJSZE
::: POLSKIE PISMO SPORTOWE :::

ILUSTROWANY TYGODNIK SPORTOWY

STADJON

CENTRALA

Redakcja i administracja:
Warszawa, Galeria Luksemburga
Telefon 70-56, 301-77, 282-66.

REDAKCJE OKRĘGOWE:

ŁÓDŹ, Piotrkowska 86, tel. 4-74
KRAKÓW, ul. Dunajewskiego 2
TORUŃ, Bydgoska 48 (St. Kince)
LWÓW, Pełczyńska 20 (parter)
KATOWICE, Opolska 4 (3 piętro)
WILNO, Zarzecz nr. 23—6
POZNAŃ, Skarbowa 23

Korespondenci we wszystkich miastach
Rzeczypospolitej oraz zagranicą

RACHUNKI PRZEKAZOWE:
Bank Handlowy w Warszawie
P. K. O. nr. 7498

Adres telegraficzny:
STADJON — WARSZAWA

„KATALOG PRASOWY PARA
R. III 1925”

WYSZEDŁ Z DRUKU

Do nabycia we wszystkich księgarniach w cenie 3. zł.

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt. REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30, m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 73-46.

Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI.
Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI.